BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł – 8 stron | Warszawa, 23 sierpnia 1953 r. | Nr 34 (178) Rok IV

Słowa i czyny

Polityka, jak poezja, jest mową wiązaną — łańcuchem, którego każde ogniwo musi mieć siłę nieodpartej racji. Inaczej łańcuch pęka. W obu rządzą równie surowe kanony i rygory pokrycia, równie ostre sankcje następstw i odpowiedzialności. Tylko, gdy surowcem poezji jest słowo, polityka ma za tworzywo fakty. Słabi politycy nie rozróżniają zwykle tych pojęć. Dlatego tylu wśród nich grafomanów.

Patos słów najgórniejszych brzęczy fałszywie, gdy nie odpowiadają im czyny. Poczucie tego pewnika dociera dzisiaj nawet do świadomości przywódców imperializmu. „Sprawdziany prawdy są proste — mówił prezydent Eisenhower, — jakby rozumiał o co chodzi — przekonywać można tylko czynami". Słowa same rzeczywistości nie tworzą, tworzą ją dopiero zespolone z działaniem.

Sięgnijmy więc po sprawdzian prawdy: fakty ostatnich lat.

Układ w Bonn. Naród rozdarty i wzięty w pacht monopoli na lat pięćdziesiąt. Na pół stulecia wzbroniono mu prawa jedności. W zamian dano mu prawo umierania w bratobójczej walce na własnej ziemi, lecz za obce sprawy. A dzieje się to w sercu Europy i z myślą o podboju całego kontynentu.

Układ paryski. Wskrzeszony Wehrmacht ma torować drogę na wschód gauleiterom z nad Potomaku i Missisipi. To również dzieje się w sercu Europy i z myślą o nowym całopaleniu Warszawy i gruzach niedosiężnej Moskwy.

Koszt okupacji zwiększony niemal w trójnasób; odrodzony hitleryzm; Niemcy po Łabę zmienione w kolonię i włączone już nie do Europy, lecz do systemu amerykańskich baz wypadowych.

Taki jest obraz polityki Stanów Zjednoczonych, wobec sprawy niemieckiej takie są fakty i czyny.

Każdy naród ma prawo do własnego bytu, zjednoczenia i samodzielnego rozwoju. Żaden naród nie może być trzymany w kleszczach okupacji, ciężarów reparacyjnych, ograniczeń politycznych i gospodarczych. Rodzi to tylko ferment i zniepra wienie, zarzewie odwetu i wojny.

Nie są to prawdy uczucia, ale jasnej myśli i logiki. Wobec dramatu Niemiec wielu z nas zachowałoby może jeszcze chłód. Zbyt wiele zaległo między naszymi narodami spraw ciężkich, zbyt krótko trwa zgoda i nazbyt ją mącą odwetowe okrzyki z Bonn. Wyciągnęliśmy rękę do ludu niemieckiego i zwarły się nasze dłonie w przyjacielskim uścisku. Lecz jest to wciąż jeszcze akt raczej rozumu niż serca. Uczucia dojrzewają powoli.

Ale dramat Niemiec i sprawa Niemiec to zarazem dramat i sprawa Europy i świata. Niemcy są kluczem europejskiego sklepienia i od biegu ich losu zależą losy pokoju. A pokój budować musimy każdym wysiłkiem myśli i mięśni, każdym drgnieniem serca. Aż stanie się twardy jak granit, niezniszczalny jak sama ziemia polska.

Albowiem „nie po to — powtórzmy za premierem Georgim Malenkowem — milion synów i córek naszego narodu przelewały krew w wojnie z militarystycznymi Niemcami, aby wskrzeszano to niebezpieczne straszliwie ognisko wojny w Europie". Ta krew wspólnie przelana ma moc nakazu. Śmierć naszych ojców, braci i sióstr, życie naszych dzieci kieruje naszymi krokami. Dlatego przyjmujemy za swoje, dlatego widzimy w nich tyle nadziei i treści, gdy po szeregu cierpliwie ponawianych prób, Związek Rad wysnuwa dziś nowe wnioski, których samo stwierdzenie jest czynem i faktem i krokiem olbrzymim naprzód.

Rzadko zdarza się czytać dokument tak bezapelacyjnie rzeczowy w zwięzłości sformułowań, w oszczędności określeń, tak suchy w stylu, a tak przejmujący żywą pełnią zawartej w nim treści, jak ostatnia nota radziecka i projekt traktatu z Niemcami. Nie ma tu niedomówień, wszystko jest odważone i powiedziane. To nie dokument — to krok historii. Słychać jak zbliża się pokój Europy.

Rozstrzygnięcie przyjdzie niebawem, bo przyjść musi. My znając prawa historii wiemy, że Niemcy wybiorą wolność, od nich samych zależy wiele. Trudna to walka, gdyż przekreśla ona germańskie mity w jakich wychowywano naród od dziesiątków lat, a przekreślić to, w czym się wzrosło, jest zawsze trudne. Jest jednak siła, która przyjdzie narodowi niemieckiemu z pomocą — to wola klasy robotniczej, wola narodów sąsiadujących z Niemcami od wschodu.

Julian Stawiński

ANDRZEJ WASILEWSKI

O kilku problemach typowości

Zacznijmy od historii pojmowania typowości w ciągu 9 lat naszego życia literackiego.

W pierwszym okresie — w latach 1947-48 — rozumienie typowości kształtowały artykuły węgierskiego krytyka Lucacsa tłumaczone i publikowane przez „Kuźnicę". Jak wiadomo, Lucacs opierał swoją teorię realizmu o doświadczenia wielkiej literatury mieszczańskiej XIX stulecia, o praktykę realizmu krytycznego. Normę typowości wyznaczała głównie praktyka twórcza Balzaka.

O ile była to norma zgodna, o ile zaś — niewystarczająca w porównaniu z normami realizmu socjalistycznego? Lucacs stwierdzał, iż w odróżnieniu od naturalistów — realiści krytyczni nie pojmowali typowego jako przeciętnej, jako „średniej statystycznej", lecz w obrazach postaci i sytuacji wyolbrzymiali rysy istotne dla darej siły społecznej. W tym doświadczenia XIX-wiecznej klasyki mieszczańskiej były — i są — cenne. Jakie jednak siły społeczne przedstawiali realiści krytyczni? Klasę feudalnej arystokracji, klasę burżuazji. W nowej rzeczywistości uczyli, jak podnosić do rangi typowości cechy starego świata, obszarniczego i burżuazyjnego; nie uczyli — nie mogli uczyć — że typowe jest również to, co nowe, rewolucyjne, zapowiadające przyszłość. Lucacsowskie uwagi o typowości były słuszne w swojej zawartości i z gruntu fałszywe w swoim ograniczeniu: poprzestając na doświadczeniach realizmu krytycznego — nie kazały kierować się ku zjawiskom nowym w życiu demokracji ludowych. Było to sprzeczne z podstawowymi wymogami socjalistycznej literatury. Ale właśnie u podłoża poglądów Lucacsa tkwiła fałszywa teza, iż w warunkach demokracji ludowej realizm socjalistyczny jest jeszcze „nieaktualny".

Sytuacja w naszym środowisku pisarskim lat 1947-8 sprzyjała milczącemu przyjęciu tej tezy. Na sytuację tę złożyła się zarówno niedojrzałość ideowa pisarzy, obróconych ku mieszczańskiej przeszłości w mniej lub bardziej demaskatorskich „obrachunkach inteligenckich", jak i zamęt ideowy gomułkowszczyzny, zacierający socjalistyczne perspektywy naszego rozwoju. Oba te czynniki współdziałały w orientowaniu pisarzy na wzory realizmu krytycznego.

Ograniczone pojmowanie typowości uformowane na doświadczeniach tego kierunku, zniekształciło obraz pierwszych dni powojennych w powieści Andrzejewskiego „Popiół i diament". Do rangi typowego podniesione tu zostało wszystko, co stare — natomiast to co nowe albo nie zostało dostrzeżone, albo wystąpiło w swojej szarej, przeciętnej postaci. Tworząc obrazy wrogów pisarz nie kierował się statystyczną miarą — są oni nie przeciętnymi, lecz wyjaskrawionymi reprezentantami starych sił. Natomiast w obrazie tworzącego się aparatu władzy ludowej zaakcentował nie jej istotę, lecz karierowiczowstwo, szumowin, które ją w opisywanym miasteczku w pierwszych dniach zaplugawiły. Stworzył postaci działaczy partyjnych, w których nie umiał skupić wyostrzonych rysów twórców nowego życia.

Czytając dziś tę powieść, silnie odczuwamy brak łączności między obrazem pierwszych dni naszej rzeczywistości, a jej chwilą obecną. Andrzejewski ukazał nieprzeciętne, typowe postaci wrogów, ale ogólny obraz życia był w powieści nietypowy, nieodpowiadający istocie nowej, rodzącej się rzeczywistości. Nie można wyjaskrawiać jednej tylko strony życia, przedstawiając drugą w jej objawach nietypowych, gdyż zagubiona zostanie dynamika rozwoju. W naszym życiu literackim lat 1947-1948 brakło zrozumienia, że typowe jest również i przede wszystkim to, co nowe.

W parę lat później odwrotna jednostronność w pojmowaniu typowości legła u podstaw bezkonfliktowości w literaturze. Schematyści przyjęli, że typowe jest tylko to, co nowe. Inna rzecz, że w obrazach nowego nie umieli tej typowości osiągnąć. Ale istotne przejawy starego w życiu albo w ogóle pomijali, albo — wprowadzając je do utworu — pomniejszali ich rzeczywiste społeczne znaczenie. Przedstawiając zjawiska stare jako słabe, łatwo ulegające, ostatecznie więc — mało istotne w walce o postęp — przeczyli prawdzie typowości. To, co typowe, nie może być społecznie słabe. Wrogie i stare w naszym życiu jest słabe tylko dzięki temu, że jest pokonywane i obumiera — ale silne przez to, że stawia maksymalny i trudny do przezwyciężenia opór. Odejmując temu co stare jego rzeczywistą zdolność oporu już tym samym traktujemy jego zjawiska jako nietypowe. Właśnie traktowanie zjawisk starych jako nietypowych zrodziło w literaturze obrazy „socjalistycznych wysepek", gdy pisarz pomijał fakty negatywne, bezkonfliktowych sielanek — gdy ich społeczne znaczenie łagodził.

Nieporozumienia wokół typowości pogłębiła jeszcze źle pojęta walka ze schematyzmem. W toku tej walki ośmieliły się bowiem i poczuły w prawie różne, nieprzezwyciężone do końca nastroje oportunistyczne. Ujawniały się one wtedy, gdy przy okazji krytyki schematycznego uproszczania typowych procesów życia — atakowano również sam typ tych procesów. Powstały w ten sposób koncepcje — i nawet utwory — spod znaku pozornego „antyschematyzmu".

Kiedy schematyczna literatura nie umiała sobie poradzić ze stworzeniem postaci pozytywnego bohatera, ucieleśniającego najlepsze cechy kierowniczej klasy i narodu — pozorny antyschematyzm radził „uprawdopodobnić" tego bohatera przez przydanie mu pewnej ilości wad i słabostek. Była w tym poglądzie częściowa słuszność, wskazująca, że bohatera ukazywać należy w rozwoju, w przezwyciężaniu słabych stron świadomości i charakteru. Ale było i niebezpieczeństwo trywializacji, „uzupełniania" obrazu bohatera rozmaitymi śmiesznostkami i błahostkami.

Doświadczenie klasyki uczy, że bohater ucieleśniający wielkie, postępowe idee swojego czasu, samą najistotniejszą treść rewolucyjnego porywu — nie staje się mniej prawdopodobny, mniej plastyczny przez to, że pominiemy takie czy inne drobne jego śmiesznostki. Wielka treść postępu, jeżeli ją tylko ujmiemy głęboko, może się obejść bez tego rodzaju małostkowych „uprawdopodobnień". Czy trzeba tu dla świadectwa przywoływać postaci Korczagina, Szachowa, Meresjewa? Ktoś powie, że takich ludzi nie wykształciły proby naszej, łagodniejszej rewolucji. Owszem, wykształciły, dla każdego narodu jego próba rewolucyjna jest próbą najcięższą. Rzecz polega tylko na tym, że tych najpełniejszych, skondensowanych wzorów bohatera naszej rewolucji nie uświadomiła nam jeszcze nasza literatura.

Kiedy schematyczna literatura płasko i nudno przedstawiała człowieka w pracy, w ideowym działaniu — pozorny antyschematyzm stwierdzał, iż przyczyną płaskości postaci jest nieukazanie ich „życia prywatnego". Była w tym duża doza słuszności. Ogromną słabością wielu utworów było ograniczenie obrazu człowieka do jego czynności produkcyjnych. Jeżeli jednak jakiś pisarz dla płaskości i nudy swych obrazów człowieka w pracy szukał ratunku w „atrakcyjnych" „wątkach prywatnych" — miłości, sporcie, domu etc. — to oczywiście wypaczał on sens walki o bogaty, pełny, żywy obraz człowieka w literaturze.

Kiedy schematyczna literatura prymitywnie narzucała prawdę o prawidłowości rozwoju wydarzeń, o prawidłowości cech psychiki ludzkiej — pozorny antyschematyzm radził zamącić jedno, udziwnić drugie. Kiedy schematyzm rodził sielankowość — pozorny antyschematyzm radził „upiększyć", dodać łyżeczkę jakiejś pesymistycznej filozofii.

Zwykło się mówić, że taki antyschematyzm — to schematyzm „na wywrót". Skąd bowiem rodzi się pierwszy, skąd drugi? Jeżeli pominiemy takie czynniki stałe, jak słaba znajomość życia i ewentualny brak talentu, to pozostanie w pierwszym przypadku — wulgarne rozumienie marksizmu, w drugim — osłabienie ofensywności ideowej, uleganie naporowi obcej ideologii. Które niebezpieczeństwo jest groźniejsze? To, które się słabiej dostrzega, to, z którym się mniej walczy.

Tak wygląda rzecz od strony ideowej. Od strony filozoficznej zaś pozorny antyschematyzm — to metafizyczne, mechaniczne przeciwstawianie przeciwieństw: optymizmowi przeciwstawia trudności, powszechnej pomyślności — powszechne powikłanie, prawidłowościom — przypadkowość, uogólnieniom — konkretność, życiu społecznemu — życie osobiste, ideałowi — trywialność, jednej stronie prawdy — drugą stronę prawdy, itd.

O TYPOWOŚCI POSTACI

Z dotychczasowych uwag wynika, że miarą typowości badamy tak literackie obrazy, czy osiągnęły siłę uogólnienia, jak i same fakty życiowe, czy są istotne, czy nieistotne. Fałszywe, statystyczne rozumienie typowości występować więc może w procesie twórczym w dwojakiej formie: w zamyśle utworu, gdy pisarz pomija jako nietypowe zjawiska już lub jeszcze nieczęste, choć bardzo istotne przez swą hamującą lub przyśpieszającą rolę w procesie rozwoju; i w samym utworze, gdy wybrane zjawiska przedstawia nie w postaci wyostrzonej i nasyconej, lecz szarej i przeciętnej.

Zdarza się więc, że pisarz wprowadza do utworu rzadkie przejawy starego i nowego w życiu, a jednak nie osiąga typowości obrazu; wtedy mianowicie, gdy poprzestaje na powierzchownym przedstawieniu tych rzadkich przejawów, gdy oddaje je w ich postaci przeciętnej, niezaostrzonej. „Zaostrzać i przejaskrawiać" znaczy nie tylko śmiało sięgać po najbardziej ujemne i najbardziej dodatnie przypadki życia, lecz także potęgować w obrazie literackim cechy autentycznych pierwowzorów.

W obu tych przypadkach typowość podwójnie niejako rozmija się ze „średnią statystyczną": po pierwsze sięga do grupy zjawisk niepowszechnych w społeczeństwie, po drugie — wyraża nie przeciętną tej grupy zjawisk, lecz jej istotę. Tak właśnie postępowali klasycy realizmu socjalistycznego: „Matka" z powieści Gorkiego jest nie tylko rzadkim w życiu rosyjskim pierwszych lat XX wieku typem ludowej kobiety-rewolucjonistki, lecz również wyobraża jej wzrost i cechy pełniej i ostrzej, niż mógłby to wyrazić przeciętny obraz tego rzadkiego typu kobiety.

Aby w obrazie współczesnego człowieka zawrzeć rysy przyszłości, bynajmniej nie trzeba obdzielać go nieistniejącymi w życiu cechami. W literaturze — człowiek jutra to przodujący człowiek dnia dzisiejszego. Zadanie pisarza polega na tym, aby te rozsiane po ludziach i dlatego nie zawsze w pełni dostrzegalne nowe cechy wyrazić w plastycznym obrazie bohatera naszego czasu. Literatura nasza skrępowana fałszywymi względami autentyzmu, bardzo nieśmiało korzysta ze swego podstawowego prawa do przejaskrawiania w obrazie jednostki cech jej pierwowzorów.

Powie ktoś, że w społeczeństwie naszym przeważają jednak ludzie ani bardzo dobrzy, ani bardzo źli, ani bardzo światli, ani bardzo ciemni, ani wielcy przodownicy, ani wielcy wstecznicy — ludzie, w których dużo jest jeszcze treści starych i dużo nowych. Czyżby ukazywanie tych najczęstszych w naszym kraju ludzi oznaczało statystyczne pojmowanie typowości?

Oczywiście — nie. Typowe jest również to, co najbardziej powszechne, „co się spotyka najczęściej". [1]. Nie znaczy to jednak, by w stosunku do owych zjawisk najczęstszych stosować miarę przeciętności. Typowy obraz powszechnego również nie jest jego „średnią statystyczną", lecz silniejszym i pełniejszym wyobrażeniem drogi, jaką przechodzi najczęstszy człowiek naszego kraju.

Skoro typowe jest to, „co najpełniej i z największą ostrością wyraża istotę danej siły społecznej" — to oczywiście typowość postaci mierzymy nie w stosunku do całości społeczeństwa — bo w społeczeństwie klasowym taka typowość istnieć nie może — lecz w stosunku do danej klasy, grupy, tendencji społecznej. Jest to rozróżnienie zasadnicze i aktualne zwłaszcza dla teoretycznego zrozumienia problemu pozytywnego bohatera.

Przysługujące sztuce prawo „zaostrzania" nie jest, rzecz jasna, jakimś obojętnym ideowo zabiegiem artystycznym. Nie każde, jakie bądź „zaostrzenie" służy typowości. Realistyczne zaostrzenie jest tylko jedno: to, które pomaga wydobyć i uwypuklić istotę danego zjawiska. Istotę zaś wskazuje nam marksistowska nauka o społeczeństwie, partyjne rozumienie zadań pisarza.

Można przytoczyć z literatury ostatnich paru lat niejeden przykład „zaostrzenia" fałszywego, nie kierowanego słuszną myślą ideową, wypaczającego realizm utworu.

W postaci NSZ-owca z powieści „Jan bez ziemi" zaostrzył Jackiewicz moment wahania, bezwolności, tragicznego przypadku i te właśnie rysy wysunął na czoło charakterystyki odszczepieńca. Podobnie Andrzejewski w powieści „Popiół i diament" rysem niezasłużonego tragizmu „zaostrzył" obraz uczestnika faszystowskiego podziemia, mordującego robotników. „Typowość stanowi podstawową sferę przejawiania się partyjności w sztuce realistycznej". Żaden z tych obrazów nie stał się typowym uogólnieniem, gdyż autorzy ich zaostrzyli rysy nieistotne czy nawet nieistniejące. Odzwierciedliła się w tym niepełna dojrzałość ideowa autorów.

Stwierdzenie Malenkowa wskazuje również na to, iż w literaturze partyjność przejawiać się winna w samej obrazowej tkance utworu, w artystycznych metodach typizacji.

Najogólniej powiedzieć można, iż dla stworzenia obrazu typowego artysta odrzuca rysy nieistotne, wyłuskuje samo jądro, samą najważniejszą treść zjawiska lub charakteru i ukazuje ją z największą ostrością w wyrazistej formie.

Takie ogólne stwierdzenie oczywiście jednak nie wystarcza. W ramach tego powszechnego prawidła realistycznej sztuki mieszczą się najrozmaitsze style i sposoby pisarskie i one właśnie są dla nas szczególnie interesujące.

Najczęściej mówi się o wyolbrzymieniu obrazu postaci poprzez skupienie w nim maksimum cech znamiennych dla danego typu ludzi. W ten sposób powstały w klasyce wyobrażenia ludzi, reprezentujących całą jakąś epokę, będących pełną syntezą cech jakiejś siły społecznej. Są to postaci — symbole swego czasu. Tak np. synteza człowieka rosyjskiej rewolucji jest postać Korczagina, obrazująca wszechstronnie rozwój bolszewika. Stworzenie tego typu bohatera, uosobiającego możliwie pełne i najwyższe osiągnięcia nowego człowieka naszego kraju — jest pierwszorzędnym zadaniem naszej literatury.

Nie jest to jednak jedyny sposób wyobrażenia bohatera w realistycznej literaturze. Nie można żądać od pisarza, aby w obrazie swego bohatera koniecznie skupił maksimum charakterystycznych rysów danego typu ludzi. Zgodnie ze swoją indywidualnością twórczą, z osobliwością artystycznego zamysłu — pisarz może uwydatnić i zaostrzyć jakąś jedną znamienną cechę, ją tylko ukazywać w dramatycznych próbach życia i ją tylko uczynić podstawą uogólniającej typizacji.

„Prawdziwy człowiek" z powieści Polewoja bynajmniej nie reprezentuje pełnej skali cech, ujawnionych przez ludzi radzieckich w wojnie z faszyzmem. Podstawą uogólnienia jest tu ogromna siła woli płynąca z patriotyzmu, i ta jedna cecha daje dostateczne wyobrażenie o istocie człowieka wychowanego w radzieckim ustroju.

Podobnie autor „Pamiątki z Celulozy" nie zawarł w postaci Szczęsnego wszechstronnego obrazu rozwoju polskiego proletariusza - rewolucjonisty, jakiegoś koncentratu cech i zdobyczy duchowych wzrastającej klasy. Nie pokazał choćby dróg intelektualnego dojrzewania robotnika, tego uporczywego przedzierania się ku wiedzy i kulturze, które tak pełnie odzwierciedla „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego. Nie można z tego powodu czynić „Pamiątce z Celulozy" zarzutu, musiałaby bowiem powstać inna książka, jeżeli w ogóle nie inny pisarz. Dostateczną podstawę uogólniającej typizacji obrazu Szczęsnego jest wydobycie i zaostrzenie tylko niektórych cech dojrzewającego rewolucjonisty: dumy, buntowniczości, instynktu klasowego, przeradzających się w bogatych okolicznościach życiowych w nową, wyższą jakość.

Słowem — pełnia typowego charakteru to niekoniecznie synteza cech danej siły społecznej. Pisarz może poprzestać na wyolbrzymieniu jakiejś jednej strony zagadnienia, jeżeli tego wymaga kompozycja utworu i właściwości talentu twórczego.

Trzeba także dodać, że samo skupienie w rysunku postaci znamiennych cech danego typu ludzi nie wystarczy dla stworzenia wyrazistego obrazu, jeżeli cechy te wystąpią w stopniu umiarkowanym, niejaskrawym. Migoń z „Węgla" Rylskiego jest jakby sumarycznym wyobrażeniem cech górnika — dyrektora z awansu. Jest w nim i pęd do nauki i robociarska nieustępliwość, i ambicja wiodąca niekiedy na manowce, i kanciasta nieco pryncypialność w ujmowaniu zagadnień. Jednakże żadna z tych cech nie jest silną, głęboką namiętnością, rysem spotęgowanym, utrwalającym wizję bohatera. Autor wyposażył postać bogato, ale poskąpił jej siły przeżywania. Dlatego też postaci z „Lewantów" — jak Kaczor czy Michał — choć nie reprezentują tak szerokiej skali rysów, — są plastyczniejsze, lepiej wbijają się w pamięć. Kaczora określa jedna, dominująca namiętność — jest to pęd ludowego bohatera do techniki, do wiedzy, połączony z żarliwością partyjniaka w przetwarzaniu życia. Postaci z „Lewantów" są wyraziste nie przez szerokie bogactwo swych cech, ale dlatego, że czują goręcej, przeżywają silniej, pełniej wyrażają rewolucyjny poryw niż to się przeciętnie zdarza w życiu i... w literaturze.

Wiele przykładów jednoczesnego skupienia i przejaskrawienia typowych cech — ale tylko w obrazach negatywnych — odnajdziemy we „Wrześniu" Putramenta. Warto przypomnieć choćby scenę, w której minister Burda czyni ostatnie rachunki z ojczyzną. Fragment ten rozpoczyna krótki pejzaż Warszawy; co z jej krajobrazu wprowadza autor do sceny? Zamek, Kolumnę Zygmunta, Krakowskie Przedmieście — miejsca, dyszące ojczystą historią, tradycją narodowej godności. Temu tłu każe autor uczestniczyć w rozmyślaniach sanacyjnego renegata — dla uwydatnienia, że jest on zaprzeczeniem wszystkiego, co mówią nam te miejsca. Burda patrzy na nie, jak na godny współczucia rodzinny kramik, nieco zawstydzający wobec świetności zachodnich metropolii. I właśnie w obliczu tej ucieleśnionej w krajobrazie dumnej historii — powezmie decyzję wyzutą z dumy narodowej, decyzję kapitulacji, pozwalającej utrzymać choć cząstkę osobistej władzy i łupów. W krótkiej tej scenie zawarty został skrót historycznej

(Dokończenie na str. 2-ej)

JAN HUSZCZA

Spotkanie

Księżyc wschodzi nad lasem, wietrzyk czoła chłodzi.
Z sianokosów wracają, pieśń przynosząc, młodzi.

Wieczór pachnie wilgocią, a wilgoć łubinem.
Brzęczą wiadra, spuszczone w studzienną głębinę.
Jeszcze światła nie błysły, ktoś krowy zagania,
lecz Jan, przewodniczący, niechętnie wspomina:
...No, kul ugrzęzło kilka w okiennych futrynach.

...Gdy była pierwsza orka, psuły się traktory
i śmiano się, że potrwa do zimowej pory,
bo do baków z paliwem, kiedy noc gęstniała,
piasek a nawet cukier nienawiść sypała!
A ów dzielny spółdzielca, obecnie grupowy,
dwa razy ich opuszczał na skutek namowy.
Lecz więcej było takich, co trwali zawzięcie:
ot, choćby stary Plichta z córkami i zięciem.
Plichta oddał swe ule, teraz to pasieka,
zięć z budową obory ani dnia nie zwlekał...
...Ten sad, co na łagodnym wzgórzu się zieleni,
co radość wróży oczom, w upały wytchnienie,
co jabłkami obrodzi za jakieś dwa lata
— też zniszczyć próbowano. Smutna była strata:
sto złamanych jabłonek! Szły wtedy zamiecie,
a winnych znaleziono aż w drugim powiecie...

...Dlatego dziś tu wszystko takie własne, bliskie:
nawet rosa na trawach, trzmiel nad wrzosowiskiem...

...Że kolacja na stole, słyszymy wymówki.
Przechodzimy do izby: ćmy wokół żarówki.
Zbierają się grupowi, przynosząc kłopoty
gospodarskie, powszednie... Miód na spodkach złoty,
ogórki chrupią w ustach....
Piąte blisko żniwa,
kłosy coraz jaśniejsze i przepiórka wzywa...

(Dokończenie ze str. 1-ej)

prawdy o miejscu sanacji na linii narodowych dziejów i zarazem skupione istotne jej cechy: kosmopolityzm, faszystowska pogarda dla kraju, łatwość wyrzeczenia się go za odstępne. Mamy tu przykład nie tylko skupienia znamiennych rysów, lecz również przejaskrawienia poprzez doprowadzenie ich do skrajności, zaostrzenia poprzez aluzyjne skonfrontowanie ich z narodową historią.

W niektórych powieściach trafiają się przejaskrawienia rażące nieprawdopodobieństwem, wulgarnym naciąganiem obrazu życia do założonych tez. Swego czasu dyskutowana była sprawa „miary przesady" w budowaniu typowych obrazów. Na tak ogólnikowej płaszczyźnie niewiele da się ustalić. Na grunt ściślejszych pojęć sprowadza tę sprawę radziecki krytyk T. Trifonowa (O niekotorych woprosach socjalisticzeskogo realizma, Zwiezda 4-53) pisząc:

„Typizacja polega nie na tym, aby wyolbrzymiać istotę, lecz na tym, aby wydobywać i pokazywać ją z największą ostrością w wyrazistej formie. Właśnie dlatego, aby istota, treść zjawiska lub charakteru, odkryta przez artystę w samym życiu, wystąpiła najbardziej dobitnie i jasno, artysta, posługując się prawem uogólnienia, wysuwa istotne cechy na pierwszy plan, oświetla je szczególnie ostrym światłem, odrzucając drugorzędne i nieistotne. Na tym polega zaostrzenie, wyolbrzymienie obrazu — obrazu, nie istoty".

Nieraz właśnie pisarze, pragnąc przejaskrawić obraz jakiegoś problemu, w y o l b r z y m i a j ą s a m ą j e g o r e a l n ą i s t o t ę. Np. w „Herkulesach" Stawińskiego główną osią konfliktu są wyczyny młodzieżowego „zadufka", nieznośnego dyktatora — Sapińskiego. Problem, jak wiadomo, nie obcy ZMP-owskiemu środowisku. Autor miał wszelkie prawo tak przejaskrawić portret zadufka, aby ów problem ujawnił się z całą ostrością. Obraz powieściowy o wiele jednak przerósł te możliwości przejaskrawienia, jakie daje sam realny podkład, sama istota problemu młodzieżowych zadufków. W cz. I powieści — Sapiński to istny demon zła: nigdy nienasycony sadysta, przebiegły kłamca, obłudny rozpustnik, cyniczny deklamator. Lada chwila oczekujemy wiadomości, że to były kapo, nasłany agent lub coś w tym rodzaju. W cz. II autor dowodzi jednak, że to tylko chwilowo zbakierowany chłopak. Przejaskrawienie stworzyło w tej powieści zupełnie inną jakość, której istotą są nie dyktatorskie narowy rozpędzonego „młodzieżowca", ale nienawidząca i bez reszty zdegenerowana wrogość. Stało się tak dlatego, że autor, nie umiejąc odpowiednio zaostrzyć obrazów rzeczywistego zadufkostwa, odpowiednio pogłębić istoty tego problemu — próbował to nadrobić krzykliwymi efektami z żelaznego repertuaru „czarnych charakterów". Przejaskrawienie nie tyle wydobyło tu wewnętrzną treść zjawiska, ile uczyniło z niego nieprawdopodobne monstrum, z którym łatwo rozprawia się autor.

Takie fałszywe przejaskrawianie, ułatwiające pisarzom robotę zniekształceniem samej istoty rzeczy, zdarza się często w literackich obrazach wrogów. Wtedy mianowicie, gdy autor pozbawia postać wroga jego subiektywnych „racji", jego wyobrażeń o życiu utwierdzonych przez wieloletni byt klasy, jego doświadczenia, jego grających atutów — kiedy czyni go beznadziejnie naiwną, sypiącą się na każdym kroku kukłą. Sprawa ta wielokrotnie była już omawiana i nie ma potrzeby rozwijać jej dalej.

O TYPOWOŚCI OGÓLNEGO OBRAZU ŻYCIA

Dla potrzeb analizy niektóre problemy typowości postaci rozpatrzone zostały powyżej w odosobnieniu — niezależnie od ogólnej kompozycji utworu, od miejsca i roli postaci w całym obrazie powieściowym. Oczywiście typowość jakiejkolwiek postaci oceniać możemy tylko na tle całości przedstawienia, biorąc pod uwagę prawidłowość ogólnego obrazu rzeczywistości w utworze. Sprawa właściwego odzwierciedlenia „proporcji życia" jest podstawowym kryterium typowości. Są to takie zagadnienia jak wybór pierwszoplanowych bohaterów, wzajemny stosunek pozytywów i negatywów, przedstawienie siły przewodniej rozwoju, rozwiązanie finału itd.

Statystyczne pojmowanie typowości w s w o i s t y s p o s ó b przejawiło się także w rozumieniu prawidłowości ogólnego obrazu życia. Przejawiło się w żądaniu, aby utwór odzwierciedlał fakty i siły społeczne w t y c h s a m y c h p r o p o r c j a c h i l o ś c i o w y c h, w jakich występują one w życiu. Żąda więc odpowiedniej proporcji liczbowej pozytywnych i negatywnych postaci. Tak np. stawiano zarzut, iż w „Węglu" jest tylko jedna postać inteligenta pozytywnego, jedna nijakiego i aż trzy całkowicie negatywne. Ale literatura ma inne, skuteczniejsze środki odzwierciedlania proporcji życia, niż statystyka. Są nimi właśnie sposoby typizacji: przejaskrawiania cech zgodnie z istotą zjawiska; wysuwania jednych postaci i faktów na plan pierwszy, cofania innych na drugi; jedna postać inteligenta czy chłopa wysunięta na czoło powieści powie więcej o pozytywnych przeobrażeniach tych warstw niż trzy marginesowe — o negatywnych itd.

Dlatego też uogólnienia literatury mają inny charakter, niż uogólnienia statystyki. Te ostatnie są — o ile inaczej nie zaznaczymy — całościowe. Uogólnienia literatury odczytujemy jako uogólnienia częściowe, nie wyczerpujące bynajmniej wszystkich przypadków danego zagadnienia.

W „Zoranym ugorze" nie ma ani jednej postaci w i e j s k i e g o aktywisty partyjnego, który dorósł do zadania postawionego przez Partię. Ale czy ktokolwiek odczytał to tak, że w r. 1934 wśród wiejskiego aktywu Ukrainy — nie licząc robotników — Dawydowów — byli tylko oportuniści jak Razmiotnow lub lewacy — jak Nagulnow? Dla uwydatnienia siły kierowniczej sojuszu robotniczo - chłopskiego, pomocy fabrycznego trzonu klasy robotniczej — autor „Zoranego ugoru" miał prawo w ten sposób przejaskrawić ogólny obraz.

Podobnie niesłuszny wydaje się zarzut, iż postać Leona — niepoprawnego lumpa z „Lewantów" rzuca cień na polskich reemigrantów z Francji. Byłoby tak, gdyby literatura była statystyką. Ponieważ jednak jest literaturą, czytelnik rozumie, iż uogólnienie odnosi się tylko do jakiejś cząstki problemu — o ile autor nie daje wyraźnie do zrozumienia, że myśli o całości. W ł a ś n i e p o j m o w a n i e u o g ó l n i e ń l i t e r a t u r y n a w z ó r u o g ó l n i e ń s t a t y s t y k i n i e z n o ś n i e k r ę p u j e s w o b o d ę p i s a r s k ą, poraża utwory owym czysto ilościowym, aptekarskim wyważaniem, stałym lękiem, aby uwzględnić „wszystko".

Jedyną troską realisty w komponowaniu obrazu powieściowego jest troska o wydobycie istoty z j a w i s k p r z e d s t a w i a n y c h. Nie maluje się twarzy bez nosa, choć wolno ją malować bez piegów a nawet bez interesującego skądinąd dołeczka. Kiedy krytycy zarzucają brak dołeczka i piegów, to znaczy, że mają szczególne zainteresowania. Ale kiedy wytykają brak nosa, to znaczy, że twarz jest do ludzkiej niepodobna. Najprecyzyjniej sformułowała kiedyś ten problem Melania Kierczyńska: jeżeli brak „tego czego w utworze nie ma" powoduje zniekształcenie „tego co w utworze jest", mamy słuszne prawo zarzucać książce błąd artystyczno-ideowy. Błędami są te pominięcia, które odbijają się na jakości zawartego w utworze obrazu. Pominięcia, które odbijają się tylko na ilości poruszonych w utworze zagadnień, nie są błędami.

Podobnie trzeba oceniać prawidłowość ogólnego obrazu życia: nie według ilościowych proporcji między reprezentantami różnych sił, ale według jakościowego wyobrażenia potęgi tych sił.

Punkt wyjścia utworu nie musi przedstawiać przewagi nowego nad starym — dla oddania prawidłowości naszego życia konieczne jest tylko aby ta przewaga widomie narastała w toku wydarzeń.

Stawiano „Lewantom" Brauna zarzut, iż poster w tej powieści wyobrażony jest tak, jak gdyby odbywał się „zygzakami". Istotnie, dowiadujemy się z powieści, że postęp osiągnięty przez stoczniowców w poprzednim okresie zahamował się, wystąpiły objawy zastoju i rozkładu i trzeba było nowego szturmu dla pchnięcia sprawy naprzód. Istotnie, Kaczor w swojej pomyślnej drodze natrafił na przeszkodę, której nie mógł wziąć jednym skokiem, ale będzie ją musiał przezwyciężać wytężoną pracą na wyższej uczelni. Istotnie, główne siły wroga zostały rozbite, ale pozostał agent, który nadal będzie szkodzić.

Jeżeli jednak w powieści takie „zygzaki" się zdarzają, to można powiedzieć, że z obrazem rozwoju wszystko jest w porządku.

W pracy „Marksistowska metoda dialektyczna" M. Rozental pisze: „Błędem byłoby przedstawianie niezwyciężoności i zwycięstwa tego, co nowe, jako procesu gładkiego i zawsze pozbawionego zygzaków. Dialektyka marksizmu-leninizmu nie ma nic wspólnego ze wszelkiego rodzaju wulgarnymi teoriami, które upraszczają obraz obiektywnego rozwoju, przeoczają całą jego złożoność i sprzeczny charakter i odtwarzają go jako linię prostą, bez zygzaków i cofania się. Lenin i Stalin wskazali, że u podstaw teorii oportunistów zawsze tkwiły podobne wyobrażenia o rozwoju społeczeństwa: „uznawali" oni zarówno rozwój jak i „postęp", uważali jednak, że na drodze rozwoju społeczeństwa, walki klasowej nie powinno być żadnych trudności, żadnych przeszkod, żadnych zygzaków. Byli oni gotowi „walczyć", ale pod warunkiem, ażeby zawczasu istniała gwarancja uniknięcia wszelkich porażek i ażeby, jak dowcipnie wyśmiewał ich Lenin, pociąg rewolucji toczył się po szynach gładko i równo, aż konduktor oznajmi tym „rewolucjonistom": „stacja socjalizm! Wysiadać!"

(...) Jednakże, podkreślając złożoność rozwoju, nie należy zapominać o tym, co najważniejsze — o niezwyciężoności tego wszystkiego, co powstaje i rozwija się. Bez względu na złożoność linii rozwoju historii, bez względu na ilość jej zygzaków i załaman, nieustannie podąża ona naprzód i tylko naprzód. Lenin mówił o konieczności przeprowadzenia czerwonej nici poprzez wszystkie zygzaki rozwoju historii po to, ażeby dostrzegać jej początek, ciąg dalszy i przyszłość, ażeby nie zagubić się w złożonym i pstrym obrazie rozwoju, zwłaszcza w trudnych momentach walki, ażeby patrzeć na historię nie z dołu, lecz jak gdyby z góry, stojąc na szczycie, z którego linia rozwoju, acz zygzakowata, uwidacznia się jako linia wznosząca się".

Obraz rozwoju w „Lewantach" niewątpliwie jest zgodny z tymi wskazaniami dialektyki. P o d s t a w o w y m s p o s o b e m w y o b r a ż e n i a „p r o p o r c j i ż y c i a" j e s t w i ę c d l a p i s a r z a p r a w d a r o z w o j u. Ale rozwój ma swoje historyczne etapy, nie można przedstawić go w jakim bądź stadium, trzeba go ukazywać w stadium dla danego okresu typowym.

Typowa dla obecnego momentu w naszym kraju jest ofensywa i zwycięstwo sił socjalizmu w skali ogólnej, w decydujących ogniwach życia — i utrzymywanie się, a nawet czasowa przewaga sił starych w skali szczegółowej, w n i e k t ó r y c h sprawach życia. Stosownie do tego układać się winna kompozycja powieści: główny jej nurt winien przedstawiać ofensywną i zwyciężającą siłę nowego, ale ostateczne pozytywne rozwiązanie nie jest bynajmniej obowiązujące dla wszystkich wątków pobocznych. Nie jest błędem, jeżeli w którymś z tych wątków pisarz da tylko perspektywę przyszłego rozwiązania.

Ukazywać konkretnie — historyczny etap rozwoju — to znaczy przedstawiać ludzi, którzy w nim biorą udział.

Stawiano „Lewantom" zarzut, że przejaskrawiają obraz tego, co wrogie i stare. Jednych faktów wolano by w ogóle nie widzieć w literaturze, inne — tolerowano by w formie złagodzonej, nieostrej. Zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku daje o sobie znać fałszywy pogląd, iż to co stare, jest nietypowe.

Organizacja partyjna w stanie rozkładu i kierowana przez wroga jest zjawiskiem nader rzadkim, niemniej jest ważnym problemem Partii, postawionym na VIII Plenum i dlatego jest problemem typowym.

Napięcie nagonki przeciw Markowskiemu, jeśli nawet przesadzone w stosunku do rzeczywistości, to przecież zgodnie z prawem pisarza do zaostrzenia.

W artykule redakcyjnym pisma Kommunist (nr 21-1952) pt. „Nassuszczniyje zadaczi sowietskoj litieratury" czytamy:

„Czym ostrzejsza walka, czym większe przeszkody, tym bardziej wyrazisty czyn bohatera, tym silniej wyjawia on swoją wolę, hart, radziecki patriotyzm, tym mocniej wywrze on pozytywny wpływ na czytelnika. Socjalistyczny realizm wymaga, aby odżywająca tendencja wyobrażona była — zgodnie z życiową prawdą — w rozwoju, tj. w swoim obumieraniu. Aby wyjawić ten proces, a r t y s t a m a p r a w o z a o s t r z a ć i w y o l b r z y m i a ć n e g a t y w n e o b r a z y". (podkreślenie moje)

A zatem n i e p r z e j a s k r a w i a n i e f a k t ó w u j e m n y c h j e s t b ł ę d e m „L e w a n t ó w". B ł ę d e m j e s t n i e d o s t a t e c z n e z a o s t r z e n i e o b r a z ó w p o z y t y w n y c h. Spójrzmy, w jak szerokiej różnorodności rysów ukazane zostało w powieści to, co stare: jako groźna inteligencja i majsterskie doświadczenie Wesołowskiego; jako przebiegła dwulicowość Budnika; jako drapieżne panoszenie się kułackiego syna — Rudego; jako kołtuństwo Kryma; jako ciemne zahukanie Mydlarza; jako lumpowska zgnilizna Leona; jako trujący egoizm i zacofanie Ornocha; jako drobnomieszczańskie sobkostwo Paliwody.

W sumie — obraz tego, co stare, został wyolbrzymiony n i e t y l k o p r z e z z a o s t r z e n i e s i ł y p r z e j a w i a n i a s i ę k a ż d e j z t y c h c e c h, l e c z i p o p r z e z i c h m a k s y m a l n e s k u p i e n i e w o g ó l n y m o b r a z i e u t w o r u. Natomiast to, co nowe, nie zostało wyobrażone w tak szerokiej skali rysów. W y o l b r z y m i e n i e n o w e g o p o l e g a t y l k o n a n a s i l e n i u j e d n e j c e c h y: żarliwej, zaciętej pracowitości Kaczora, Śliwki, Markowskiego, Warkusza. W powieści, która tak szeroko odzwierciedla najróżniejsze silne cechy starych sił — tym bardziej odczuwa się brak bohatera, który by szerokością horyzontów, rozumem, stylem działania, dojrzałością ideową skupiał w sobie to, co najlepszego wytworzyła w ludziach Partia. Mógłby to być ten sam sekretarz Mokry, gdyby w chwili, gdy otrząsnął się wreszcie z odrywających go od stoczni spraw, przejawił jakiś wyższy poziom partyjnej pracy. Niestety, do końca jest ślamazarny i zagadkowy. W powieści nie ma ani jednego człowieka Partii, stojącego na wysokości zadania.

Co najbardziej uderza w przedstawieniu zmagań Markowskiego z wrogością i niechęcią otoczenia? Bierność dobrych towarzyszy i robotników, którzy przez wiele miesięcy ograniczają się do słownych pocieszeń naszego bohatera. Z a o s t r z e n i e n e g a t y w ó w n i e m o ż e b y ć o s i ą g a n e k o s z t e m s t ę p i e n i a p o z y t y w ó w. Pozwoliwszy tym przodującym robotnikom przejawić właściwą postawę — nie ujałby autor nic z dramatyzmu wypadków, z napięcia konfliktów. Przeciwnie, dopiero wtedy Budnik poruszyłby się żywiej i ujrzelibyśmy go przy „robocie", co niewątpliwie zwiększyłoby wyrazistość powieści.

Jeżeli pomimo braku przedstawienia szerokiej skali nowych cech obraz rozwoju jest w „Lewantach" przekonywający — to dzięki sugestywnemu odmalowaniu więzi i oddania szeregowych członków Partii, przodujących robotników. Napięciem tej uczuciowej żarliwości po części przysłonił autor brak obrazów dojrzałości ideowej, rozumu, doświadczenia jako decydujących czynników kierowniczej roli Partii.

O IDEALE PIĘKNA

Najwięcej zastrzeżeń budzi jednakże ogólna aura „Lewantów", męcząca m. in. dlatego, że przeładowana umyślną brzydotą. Problem ten jest natury ogólniejszej, ściśle związanej ze sprawami typowości.

Skaza w psychice pisarza, w jego stosunku do ludzi, w jego socjalistycznej postawie — tak czy inaczej odciśnie swój ślad na jego dziele. Tworząc obrazy życia, pisarz daje bowiem najczulszą miarę tego, co sam osiągnął i rozwinął w sobie jako nowy człowiek. Pisarzowi najmniej może wystarczy teoretyczna tylko wiedza o prawach rodzenia się nowego, gdyż aby je pełniej i głębiej wyrazić za innych, on sam musi być tym nowym. Nie dostrzeże lskier nowego w życiu ten, kto nie nosi ich w sobie. Wzrost bohaterów pozytywnych w naszych utworach — zależy również od wzrostu samych pisarzy.

Uwydatniając zaś to co się rodzi, co decyduje o postępie, pisarz-realista formułuje swój ideał piękna. Za mało zwracamy uwagi na to, że nadanie cech piękna socjalistycznym treściom naszego życia jest najważniejszym zadaniem artysty. A przecież stale popełniamy w tej sprawie niemało pomyłek w twórczości i niedopatrzeń — w krytyce.

Swoje rozumienie piękna określa pisarz przede wszystkim poprzez postać bohatera pozytywnego. Ale bohaterem każdego utworu, sztuki jest również i autor. Moment piękna występuje w jego humanistycznym stosunku do przedstawianych ludzi, w aurze, jaką potrafi utworowi nadać.

Sprawa ogólnej aury, tonacji utworu nie jest bynajmniej dla realizmu socjalistycznego sprawą obojętną. Oczywiście w tonacji tej może brzmieć śmiech i gniew, duma i ból, tkliwość i pełen powściągliwego patosu szeroki rozmach epicki. Pisarze zbyt często może zapominają, że i proza, acz niewidocznie — winna jednakże być niesiona falą uczucia. Ale niezależnie od rodzaju tych uczuć odbijać się w nich musi piękno humanistycznego spojrzenia na świat, na ludzi. Ogromne wyczulenie na każdy zalążek dobra w człowieku, wiara w jego wzrost, radość z jego doskonalenia się — kształtować winny ogólną tonację utworu. Sprowadźmy rzecz na grunt konkretów, aby nie zagmatwała się w ogólnikach.

Pisarzom, którzy do światopoglądu marksistowskiego doszli drogą gwałtownego protestu i obrzydzenia do własnej klasy niełatwo jest odnaleźć tę miarę miłości i zaufania winną człowiekowi. Ich psychika, ich wyobraźnia pisarska dysponuje daleko bogatszą skalą uczuć i intuicji w negacji i demaskatorstwie, niż w odtwarzaniu pięknych i czystych treści życia. I dlatego moment demaskatorstwa dominuje także w obrazach tych postaci, w których prawda jest złożona: i dobra i zła.

Jest we „Wrześniu" Putramenta porucznik Markiewicz, typowy przedstawiciel patriotycznej, ale ogłupionej i oszukanej przez sanację inteligencji. Patriotyzm i ogromna naiwność polityczna — oto przeciwieństwa, które się w nim ścierają w obliczu hitlerowskiego najazdu. Autor bezlitośnie ośmiesza stronę negatywną — polityczną ślepotę tej części inteligencji. Zupełnie słusznie. Ale nie umie odnaleźć właściwego wyrazu dla tego cząstkowego pozytywu, jaki ją jednak ogrzewał — dla piękna niekłamanego patriotyzmu. Żywiołem pisarza jest bowiem negacja i demaskatorstwo — dla dobrych uczuć zabrakło zainteresowania.

Jest w „Lewantach" Brauna Józka Ornochówna i jest w „Zoranym ugorze" Szołochowa Łuszka Nagulnowa. Obie są sobie równe tak pod względem kobiecego prowadzenia się, jak i pustki wewnętrznej. Dlaczego jednak przedstawienie przygody Ornochówny budzi niesmak, a obraz Nagulnowej nie budzi go? Dlatego, że Braun czuje do swej postaci tylko pogardę, a Szołochow oprócz smagającej ironii także i wiarę w to, że ta lekkomyślna i pusta kobieta stanie się kiedyś kobietą radziecką.

W jakich środkach artystycznych odbijają się te odmienne postawy?

Braun podkreśla w tej erotycznej przygodzie brzydotę i wulgarność i tak przedstawia Ornochównę, aby ją najbrutalniej ponizyć. I tylko w tej aurze poniżenia tkwi naturalizm sceny. Szołochow zaś przedstawia Łuszkę z humorem, w którym jest tyleż palącej satyry na poziom tej pustej kobiety, co i dobrej wiary w jej wzrost.

Na czym polega artystyczno-ideowa wymowność tych przykładów? Na tym, że w przykładzie z „Lewantów" brak jest elementu piękna, które winno być zawarte w stosunku pisarza do człowieka. A na czymże polega to piękno w przykładzie „Zoranego ugoru"? Na tym, że w sposobie potraktowania postaci znalazł swój wyraz socjalistyczny humanizm, który piętnuje i ośmiesza zło, ale wierzy w człowieka.

W tym sensie pozytywnym bohaterem każdego utworu jest również sam autor: daje on wyobrażenie piękna poprzez postacie przodujących ludzi i jednocześnie sam je reprezentuje poprzez ogólną aurę swojego dzieła. Tą czystą aurą jak powietrzem oddycha czytelnik.

Serdeczność i ciepło winny dominować w stosunku autora do zmieniających się, rosnących ludzi naszego narodu. Ale nie znaczy to — ckliwe ciepełko, nie znaczy — mdły sentymentalizm. O ile bowiem ideową podstawą pierwszych uczuć jest czujny, walczący humanizm, to podkładem drugich — pobłażliwy i obezwładniający humanitaryzm.

Przed paru laty ton sentymentalizmu pobrzmiewał w twórczości autora „Antygony" i „Troja — miasto otwarte". Kazimierz Brandys widział bowiem w spekulancie i faszyzującym pięknoduchu ofiary fatalistycznych sił historii, nieszczęśliwych rozbitków życiowych i nie poskąpił im swego współczucia. A współczucie marksistowskiego pisarza dla rozbitków starego świata mogło być tylko mdłym sentymentalizmem.

Z radością można stwierdzić, że w nowej powieści K. Brandysa „Obywatele" (druk. w „Twórczości") sentymentalizm znikł bez śladu. Stało się tak dlatego, że w twórczości jego dominować począł nowy człowiek i on właśnie natchnął pisarz prawdziwym humanizmem: serdeczną uwagą dla twórczych zmagań Kuźnara i Czyża, czujną troską o losy szczerego demokraty o liberalnych kompleksach — Morawieckiego, ale nieosłabionym niczym potępieniem dla wroga — Działyńca.

Ciepełko i sentymentalizm odradza się dzisiaj w prozie inaczej: jako nawiązanie do sielankopisarstwa typu Rodziewiczówny. Przez twórczość tej autorki przewija się myśl, że ubogi człowiek znajduje szczęście przez osiągnięcie stanu idealnej, naiwnej dobroci, otwartej dla wszystkich ludzi, ale przede wszystkim dla uciemiężonych majątkiem bogaczy. Tę nadzwyczajną szlachetność kształtuje w prostym człowieku współżycie z naturą, pierwotne „zdrowe" bytowanie w nieznającym kłopotów społecznych świecie przyrody.

Takie wątpliwej wartości wzory literackie przekradły się do „Srebrnej ławicy" Eugeniusza Paukszty. Oczywiście — odpadł cały klasowy sens tej mitologii. Ideał „prostego", z natury swej szlachetnego człowieka służy tu — w zamierzeniu autora — odzwierciedleniu socjalistycznych treści. Niemniej jest to ideał nieistniejący, fałszywy, odizolowany od walki klasowej, w której rodzi się wszystko, co nowe w duszy ludzkiej.

W powieści Paukszty nie ma żadnej walki starego z nowym — ani pomiędzy ludźmi, ani wewnątrz nich. Gdzieś tam tylko na marginesie książki złodzieje-amatorzy kułaccy podkradli z sieci ryby. Jeden tylko, niezły zresztą człowiek, Bukin, miał tę wadę, że pił i napastował dziewczyny, ale się szybko uleczył. Jeden tylko Gajdziuk miał zły charakter, ale go prędko wyrzucili. Reszta — to wszystko ludzie o gołębich sercach, dziecinnie niewinni w swych uczuciach. Tę naturalną szlachetność zaszczepia w nich zdrowy oddech wspaniałej przyrody.

Czy to serdeczny, ciepły stosunek do człowieka podyktował aurę tego utworu? Nie, socjalistyczny humanizm to nie fałszywa egzaltacja. Surowo odmierza on stare i nowe w człowieku, a jego piękno polega na mocy dobrego — choćby i bolesnego — przetwarzania.

Wzór takiej postawy daje twórczość Gorkiego. W naszej nowej prozie najpełniej wyrazili ją Lucjan Rudnicki, Igor Newerly. Uświadomienie sobie ideału piękna — a wymaga to ugruntowania w pełni socjalistycznego stosunku do człowieka — jest dla pisarza jednym z nieodzownych warunków stworzenia typowego obrazu życia.

Moment piękna występuje w sztuce również jako moment marzenia. Praktyka naszych pisarzy zwykle zacieśnia rolę twórczego marzenia w utworze do jednej — dwóch wypowiedzi powieściowych bohaterów na temat przyszłości. Chodzi jednak o to, aby ta porywająca naprzód siła najrealniejszego marzenia nie była tylko doraźną myślą, włożoną w usta bohaterów, ale by stała się przewodnikiem pisarza po życiu, starszym i bardziej przenikliwym doradcą, który wskazuje słabo jeszcze widoczne, ale najcenniejsze wartości, każe je podchwycić i zasilić całą mocą sztuki.

Andrzej Wasilewski

*) Wszystkie nie oznaczone cytaty pochodzą z referatu Malenkowa wygłoszonego na XIX Zjeździe KPZR.

MIECZYSŁAWA BUCZKÓWNA

WIERSZE

O miłości

Gdzie jej początek — i jak to się dzieje,
Że szept miłości ma siłę zaklęcia,
Kamień zapłacze w jej słodkich objęciach.
W kolory wiosny zimę przyodzieje.

Słońce zapala w zagasłych źrenicach,
Młodość pierzchliwą w wierną stałość zmienia,
Głuchotę brzmieniem muzyki zachwyca,
Dobroć spętaną uwalnia z milczenia.

Gdzie jej początek — i jak to się dzieje.
Ja nie wiem i ty nawet mi nie powiesz,
W spojrzeniu twoim i w przymknięciu powiek
Czułość dojrzewa — a siałam nadzieję.

Matki sześciorga dzieci

Matki sześciorga dzieci, wielkie przemilczane,
Których ręce są godne pocałunków sławy,
One co niewidomej, w sobie usłyszanej
Nadziei życie dają. Swym sercem tak prawym
Przyjmują każdą życia zapowiedź nieśmiałą,
Gdy krwią i mlekiem karmią to, co żyć tak chciało.

One, które swą młodość, ciszę i swobodę
Zamieniły na trudne szczęście, długo śpiące,
W białych pieluszkach zimy, jak pąki drzew młode.
Tak zaufały sile zaciśniętych piąstek,
I gwiazdom myśli, które w oczach dzieci płoną,
Piękniejszych gwiazd nie odkrył na niebie astronom.

Matki sześciorga dzieci. Czy znacie ich twarze,
W obłokach pary bledną, ogień je oświeca,
Zmartwiałe przed wyrokiem młodego lekarza,
Gniewne gdy zło się wkrada do małego serca,
Noc niepokoju w zmarszczkach osiada głębokich,
Dzień uśmiechu gdy śledzą pierwsze dziecka kroki.

Niebo symfonii pęka, gdy milczą karmiące,
Dumna korona pracy ozdabia ich głowę,
Łąka przed nimi klęka, całuje ich słońce,
Bohaterki tak skromne a zawsze gotowe
Za dzieckiem, gdy skazane, zejść do głębi piekła,
Ze śmiercią bić się, by swych ofiar się wyrzekła.

Wrażliwość

O gdyby moja wrażliwość
Była jak dziecka ręka —
Zbrojna miłością cierpliwą
Co ognia się nie lęka.
Gdy kwiatów dotyka po to,
By serce ich zapamiętać
I obdarzona pieszczotą
Drży tętnem piękna przejęta.
Jak ręka niewidomego
Palców dotykiem widząca,
Gdy prawom świata jasnego
Jest nieposłuszna do końca.
Świat cały stwarza jej miłość
I każdy przedmiot z osobna,
O gdyby moja wrażliwość
Do rąk tych była podobna.

JERZY ANDRZEJEWSKI

Dlaczego zatrąbiłem na alarm?

(Z notatnika)

W ubiegłym roku, z początkiem lipca na skutek pomyślnych okoliczności, o których nie warto tu szerzej wspominać, postanowiłem pojechać na krótki odpoczynek nad morze, do Międzyzdrojów. Jak przed każdym wyjazdem stanęła przede mną konieczność załatwienia różnych spraw bieżących, drobnych przeważnie i śmiertelnie nudnych. Jednak perspektywa spędzenia dwóch tygodni nad morzem sprawiła, że tym razem z owymi drobnymi i nudnymi sprawami uporałem się z sercem lekkim, jak balonik i szybkością ludzi zadowolonych z życia.

Już wydawało mi się, że wszystko co było do załatwienia — załatwiłem, gdy w ostatniej chwili, w przeddzień wyjazdu, stwierdziłem, że muszę koniecznie kupić jakieś lekkie, wygodne pantofle. Stare, bardzo przeze mnie ulubione, akurat odmówiły mi dalszej służby. Wybrałem się zatem natychmiast do miasta z zamiarem kupienia tych nowych pantofli, ponieważ jednak było bardzo gorąco — w połowie drogi do autobusu przyszła mi szczęśliwa myśl, iż z równym powodzeniem mogę pantofle kupić w Międzyzdrojach. To pomyślawszy zawróciłem do domu, a nazajutrz pojechałem do Międzyzdrojów w solidnych i przyciężkich butach, idealnych wprawdzie na jesień i zimę, natomiast nieco uciążliwych w upały. Upały zaś były od kilku tygodni zwariowane.

Męczyłem się zatem przez parę dni w tych moich buciorach, aż wreszcie dnia trzeciego, natychmiast po śniadaniu, zmobilizowałem się i zamiast pójść z przyjaciółmi na plażę, udałem się na poszukiwanie pantofli. Chociaż pora była wczesna, z nieba buchało żarem jak z pieca. Mało kto szedł w tym samym kierunku co ja, to znaczy ku dzielnicy handlowej. Ludzi było pełno, lecz wszyscy śpieszyli w kierunku morza. „Widzisz, widzisz — mówiłem do siebie wlokąc się wśród gęstego ukropu — nie mogłeś to kupić pantofli wcześniej?". „Mogłem — na to odpowiedziałem. — Mogłem, ale mi się nie chciało. Mogło mi się nie chcieć, czy nie mogło?". I na tym uciąłem rozmowę nie chcąc w tak nieprzyjających okolicznościach dopuścić do zaostrzenia osobistych sprzeczności.

Tylko dwa wielokilowe ciężary wiszące u moich nóg sprawiły, że po godzinie daremnego poszukiwania pantofli nie machnąłem na całą sprawę ręką. Zaszedłem jednak tak daleko, iż sądziłem nie bez słuszności, że łatwiej mi będzie iść dalej niż zawrócić. Wprawdzie wybór letnich pantofli różnego rodzaju był obfity, lecz wszystkie na jakie trafiałem nie pasowały na moje nogi: jedne były za duże, drugie znów za małe. Co za pech! Muszę wyznać, że w zetknięciu z drobniutkimi przeciwnościami dość łatwo upadam na duchu, to też bez większego przekonania, zato dławiąc się upałem jak gorącą kaszą zaszedłem do piątej bodaj z kolei spółdzielni z konfekcją.

Sklep był nieduży, typowy dla małych prowincjonalnych miasteczek. Mieścił się przy zacisznej bocznej uliczce i wystawiony był na słońce jak plaża. Młodziutka ekspedientka o okrągłych i zachwycająco zdziwionych oczach dowiedziawszy się, czego sobie życzę, wyłożyła na kontuar kilka par pantofli. Wszystkie bardzo przyjemnie wyglądały. Ożywiłem się więc nieco i wybrawszy parę, która na oko wydała mi się w sam raz dla mnie, przymierzyłem prawy pantofel. Niestety, aż poczerwieniałem z wysiłku, żeby w niego stopę wtłoczyć. Wyjątkowo zjadliwie ściskał mi, świntuch, nogę.

— Za mały — domyśliła się od razu ekspedientka. — To jest trzydziestka dziewiątka, a pan jest wysoki, to pan na pewno potrzebuje czterdziestki dwójki.

Podała mi zatem czterdziestkę dwójkę. Wlazłem w nią jak w koryto.

— Czterdzieści jeden będzie dla pana w sam raz — na to ekspedientka.

Ale i w czterdziestym pierwszym było mojej stopie za luźno.

— To już wiem — zdecydowała ekspedientka — panu potrzebna jest czterdziestka.

— A czyż jest czterdziestka? — spytałem z najgłębszym przekonaniem, że usłyszę odpowiedź odmowną.

Miła dziewczyna, tak cierpliwie odnosząca się do grymasów moich nóg, uśmiechnęła się naprawdę uroczo.

— Owszem, jest czterdziestka — powiedziała. — Ostatnia akurat para. Ma pan szczęście.

Też tak sobie pomyślałem. Ona zaś zdjęła z górnej półki pudełko i wyjęła z niego pantofel. Przyjrzałem się mu bez większej nadziei, chociaż pomyślałem, że mam szczęście. Miły boże, jakże musi być przyjemnie chodzić w czymś takim.

— Ten na pewno będzie dla pana dobry — powiedziała ekspedientka.

— Myśli pani? — ja na to biorąc nieufnie pantofel do ręki.

Był na nogę lewą, więc żeby go przymierzyć musiałem zdjąć drugi but. Ekspedientka z niezmiennie życzliwym i ujmującym zdziwieniem przyglądała się moim powolnym zabiegom.

— Dobry, prawda? — spytała, gdy moja stopa znalazła się w pantoflu.

— Czy ja wiem? — mruknąłem.

Po czym wstałem i ostrożnie, jakbym niósł w pantoflu nie stopę, lecz jajko, postąpiłem kilka kroków naprzód.

— Zdaje się, że będzie dobry — powiedziałem już raźniejszym głosem.

Przegiąłem nogę w lewo, potem w prawo, palcami trochę poruszałem i po raz pierwszy od kilku dni odczułem rozkosz, jaką ludzkiej nodze może ofiarować wygodny, lekki but.

— Dobry! — wykrzyknąłem.

— A widzi pan! — na to ekspedientka. — Od razu wiedziałam, że dla pana musi być czterdziestka.

„Ależ teraz sobie pochodzę!" — pomyślałem. I rozejrzałem się za drugim pantoflem. W pudełku go nie było.

— A gdzie drugi? — spytałem. — Na prawą nogę.

— Jest, jest — uspokoiła mnie sprzedawczyni. — Zaraz go zdejmę z wystawy.

Co uczyniwszy, postawiła pantofel z prawej nogi na kontuarze. Od razu wydał mi się podejrzany. Był niby taki sam, jak ten, który miałem na nodze, a przecież jakiś całkiem inny. Nie mogłem się jednak zrazu połapać na czym ta inność polegała.

— Co jest z tym pantoflem? — spytałem wreszcie. — Czy to aby z tej samej pary?

Zdaje się, ze moja wątpliwość nieco dotknęła miłą ekspedientkę, oświadczyła bowiem z akcentem dobrotliwego pouczenia, że obuwie sprzedaje się tylko parami.

— A że ten z prawej — wyjaśniła następnie lojalnie — wydaje się panu troszeczkę inny, to może dlatego, że był na wystawie. Opalił się.

Przyjrzałem się pantoflowi jeszcze raz. Oczywiście! Jego płótno, a również i skóra w porównaniu z biało-brązową karnacją prawego pantofla były dokładnie obmyte słoneczkiem, wypłowiałe, żółciutkie, koloru — z przeproszeniem — dziecinnej kupki.

W obliczu poważnych komplikacji i trudności większego kalibru stać mnie na zimną krew i jasność umysłu,

— A jak długo opalał się ten pantofel? — spytałem.

Ekspedientka zastanowiła się.

— Chyba z tydzień.

— Tydzień? Nie więcej?

— Może trochę więcej...

— Dwa tygodnie?

— Ech nie, dwóch tygodni to na pewno się nie opalał.

Obliczyłem, że za tydzień mój pobyt nad morzem będzie się miał ku końcowi.

— Ten nieopalony też będzie potrzebował tygodnia, żeby dogonić tamtego.

Dziewczyna okazała się optymistką.

— Prędzej d o j d z i e, proszę pana — powiedziała. — Teraz słońce coraz silniej grzeje. Jak go zaraz dam na wystawę, to szybko d o j d z i e.

Nazajutrz poszedłem sprawdzić. Wszystko było w porządku. Pantofel z lewej nogi spoczywał jak na plaży na zalanej słońcem wystawie i spokojnie się opalał. Wstąpiła we mnie otucha. Przy takim słońcu nieopalony pantofel powinien rzeczywiście szybko dogonić swego towarzysza. Utraci co prawda po tym zabiegu swoją biało-brązową świeżość, zato nie będzie przy tamtym razić. Trudno, czasem trzeba i takim kosztem osiągać zgodną harmonię.

Tymczasem... Tymczasem nastąpiło nieszczęście. Po przepięknym zachodzie i wieczorze, który rozgwieżdżonym niebiem wzniósł się wysoko ponad obszarem gładkiego morza — ranek wstał chmurny, chłodny wiatr dął z północy, przy molu wywieszono czarną chorągiew na sztorm, wczasowicze powciągali swetry, kurtki, wiatrówki i płaszcze, i ani tego dnia, ani w ciągu kilku dni następnych słońca nie było. Rzecz jasna, że zaraz lepiej się poczułem w swoich grubych butach; lecz z drugiej strony los tamtego pantofla nie dawał mi spokoju. Taki był leciutki, taki przyjemny, taki wdzięczny, tyle obiecywał! I co z nim teraz będzie? Słońca zabraknie — nie d o j d z i e, nie dogoni opalonego towarzysza. Brakiem będzie, nieużytkiem.

Lecz nad naszym Bałtykiem zmienność pogody jest jak wiadomo prawidłem, więc i po trzech dniach pochmurnych i wietrznych znów wyjrzało słońce i gorąco poczęło się obficie lać z rozpogodzonego nieba. Przeklęte buciory spowrotem zaczęły ciążyć, piec i udręczać nogi.

Jeden dzień nawrotu upałów przetrzymałem, zaś następnego odwiedziłem wiadomy sklep spółdzielczy. Upragniony przeze mnie pantofel z lewej nogi spokojnie się opalał na wystawie. Jednak po bliższym skonfrontowaniu go z tamtym z prawej nogi okazało się, że jeszcze nie d o s z e d ł, wciąż daleko mu było do wyblakłości towarzysza, wciąż był ciemniejszy i świeży, po prostu inny, jakby z całkiem odmiennej pary. Nie, chociaż bardzo się męczyłem w swych butach, nie mogłem się zdecydować na kupno pantofli tak jaskrawo, wprost wyzywająco różnych. Wiem dobrze, że co bym spojrzał na swoje nogi, to by mnie zaraz ogarniał niepokój, że któraś z nich nie do mnie należy. Znam siebie. Wolałem nie ryzykować podobnych wątpliwości. Zbyt wiele kontrastów istnieje w naszym życiu, abyśmy nie obdarzali czułymi uczuciami tych maiutkich i skromnych pozycji, które urok jednolitości zachowują. Czyż doprawdy domagałem się tak wielkiej rzeczy? Nogi podobne do siebie chciałem mieć, tylko tyle.

Miła sprzedawczyni żywo sobie wzięła do serca moje kłopoty i z przejęciem poczęła mi tłumaczyć, że to naprawdę nie jest jej winą, iż słońca nie było przez całe trzy dni. Bo gdyby słońce było... Ba, gdyby było! Wyszedłem ze sklepu wzruszony i pożegnany zapewnieniem, że najdalej za dwa dni pantofel d o j d z i e.

Wróciłem więc po dwóch dniach. Moje buciory dokuczały mi złośliwiej niż kiedykolwiek, a na domiar wszystkiego odparzyłem sobie prawą stopę, bąbelek mi wyskoczył na pięcie. Zanim wszedłem do sklepu, zatrzymałem się przed wystawą. Nie! oczom nie chciałem wierzyć. Mojego pantofla nie było na wystawie. A więc już d o s z e d ł, już dogonił swego towarzysza, już utracił świeżość, która stanowi zazwyczaj o wartości obuwia, w tym jednak wypadku nie cnotą była, lecz przywarą. Mojeż ty złoto!

Niestety, rzeczywistość, jak to się jej przydarza dość często, okazała się całkiem inna od tego, czego się po niej człowiek spodziewa. Pantofle zostały sprzedane akurat przed godziną. Sprzedane? Jakto sprzedane? — oburzyłem się. Przecież to ja miałem je kupić. Dla kogo opalał się ten nieszczęsny lewy pantofel? Czy nie dla mnie?

Miła ekspedientka — moja dobra, stara znajoma, tak już ją przecież mogę nazwać — zrozumiała mój zawód. Owszem, pamiętała o mnie, naprawdę pamiętała. Cóż jednak miała zrobić? Klient jest klientem. Przyszedł klient, chciał koniecznie pantofle kupić, czyż można było klientowi odmówić? Słusznie, nie mogłem nie przyznać, że nie można było odmówić. Klient jest klientem.

— Niech się pan nie martwi — pocieszyła mnie sprzedawczyni — za tydzień dostaniemy nowy asortyment letnich pantofli.

Za tydzień! Do końca pobytu w Międzyzdrojach pozostały mi zaledwie trzy dni.

— Tylko trzy dni? — na to moja dobra, stara znajoma. — No, widzi pan, na trzy dni to się już nawet nie bardzo opłaca kupować buty. A tej pary to i tak by pan nie chciał dzisiaj ubrać, bo lewy pantofel wciąż jeszcze nie d o s z e d ł.

Opuściłem sklep z uczuciem brzydkiej, złośliwej radości. Więc jednak nie zdążył się opalić ten małpi pantofel! Nie chwyciło go jednak słońce! Jakże mnie pokrzepiła świadomość, że jakiś nieznany mi z imienia i nazwiska człowiek paraduje teraz w Międzyzdrojach w dwóch tak jaskrawo odmiennej maści pantoflach. Ale się facet urządził! Oczu nie miał, czy co?

Sycąc się zatem klęską tamtego człowieka i uśpiwszy tym sposobem porażkę własną — podążyłem w swych ciężkich bucioracb w kierunku morza. Nie były zresztą te buty tak strasznie ciężkie, jak dotąd sądziłem. Buty jak buty, coś przecież ważyć muszą. Nie trzeba przesadzać. Bąbelek na pięcie też przestał mi dokuczać. Zapomniałem o nim.

Niebawem znalazłem się na nadmorskiej promenadzie, w pobliżu mola. Ustronne miejsce, gdzie zwykliśmy plażować z gronem znajomych, leżało na dość odległym skraju międzyzdrojskiej plaży, począłem więc iść w tamtym kierunku znów niestety odczuwając ciężar buciorów oraz bąbelek na pięcie (radość z cudzych porażek zawiera zdumiewająco mało pożywnych substancji) — gdy naraz stanąłem, jakbym wdepnął w tłustą glinę. Lecz nie w glinę wdepnąłem, o nie! W zdumienie wdepnąłem aż po czubek głowy.

Oto w odległości nie większej od dziesięciu kroków, na jednej z ławek promenady siedziały moje pantofle, to jest, co ja mówię? — nie one oczywiście siedziały, lecz człowiek w moich pantoflach siedział na ławce. Nie miałem żadnych wątpliwości. To były m o j e pantofle. Wśród tysiąca par letnich pantofli poznałbym je nieomylnie. Lewy, ten co to nie zdążył się opalić, był wciąż jak należy biało-brązowy, lśniący zdrową, jędrną karnacją, słońce widać w niedostateczny jeszcze sposób zdążyło mu zaszkodzić; natomiast ten drugi, poddany tygodniowym słonecznym zabiegom, wygląd miał niewyraźny, spłowiały i był jak wspomniałem koloru — z przeproszeniem — dziecinnej kupki. Miła sprzedawczyni miała słuszność. Nigdy, przenigdy nie kupiłbym tych głupich pantofli. Nie wziąłbym ich nawet za dopłatą. Czyż ślepy jestem, u licha? Rozum mam przecież. Myśleć lubię. A jak ktoś myśleć nie chce i bezmyślnie w takie buty włazi, to co ja na to poradzę?

I tak to odciąwszy się lekko od spraw cudzej głowy i cudzych zbabranych nóg, bez większego już zainteresowania ogarnąłem przelotnym spojrzeniem siedzącego na ławce człowieka. Zwyczajny był to człowiek, niczym szczególnym się nie wyróżniał, ani niczym specjalnym nie raził. Siedział tylko na tej ławce jakoś dziwnie nienaturalnie. Robił takie wrażenie, jakby siedział i nie siedział, a już na pewno wyglądał tak, jakby mu czegoś brakowało, albo czegoś miał za dużo. Uważniej się więc przyjrzałem posiadaczowi pantofli. I aż wszystko we mnie podskoczyło. „O, jak pragnę żyć i skakać!" — mruknąłem sam do siebie, ponieważ dla wyrażenia uczuć, jakie mną ogarnęły, nie znalazłem żadnych słów prócz ulubionego zaklęcia mojego dziesięcioletniego syna. Ten człowiek opalał pantofel, który nie zdążył d o j ś ć. Prawą nogę z pantoflem zbabranym ukrywał starannie pod ławką w cieniu, a tą lewą wystawił na słońce, przeglądał się jej z zatroskaną uwagą i tak nią nieznacznie manewrował i tak ją podsuwał na najsilniejszy blask, jakby obracał mięso na rożnie.

W pierwszej chwili wydało mi się, że śnię, ze majaczę. Ludzie, złoci ludzie, jak pragnę żyć i skakać... Jednak nie śniłem, nie majaczyłem. Było tak, jak mówię, słowo daję, że tak było. Ten człowiek rzeczywiście opalał swój pantofel. Rozumiecie? Dobrowolnie opalał pantofel.

I tu coś się we mnie naraz przekręciło. Odwróciłem się i raptem — kto nie chce wierzyć, niech nie wierzy — raptem puściłem się pędem poprzez zatłoczoną nadmorską promenadę i roztrącając ludzi począłem ze siebie wydawać przeraźliwie donośne dźwięki trąbki. Tra—ta—ta—ta! Tra—ta—ta—ta! Tra—ta—ta—ta!

Ludzie się, rzecz jasna, zaczęli zatrzymywać, a nawet rozstępować, a ja wśród tej wolnej i hen, hen daleko ku morzu ciągnącej się przestrzeni pędziłem i pędziłem, pędziłem prosto przed siebie jak straż ogniowa, jak karetka pogotowia, trąbiąc sobie i ludziom coraz głośniej, coraz głośniej, dmąc na alarm z całej siły płuc, całym sobą... Tra—ta—ta—ta! Tra—ta—ta—ta! Tra—ta—ta—ta!

Co nastąpiło później, pomińmy to na razie milczeniem. Przyjaciele mówili, że się wygłupiłem. Poszły plotki, że byłem pijany. Właśnie. Najbliższym ludziom mogę życzyć, żeby byli tak przytomni jak ja wówczas. Wcale też nie obiecuję, że już nigdy nie zatrąbię. Owszem, zatrąbię. Żebyście wiedzieli, że kiedy będzie trzeba, to zatrąbię.

Jerzy Andrzejewski

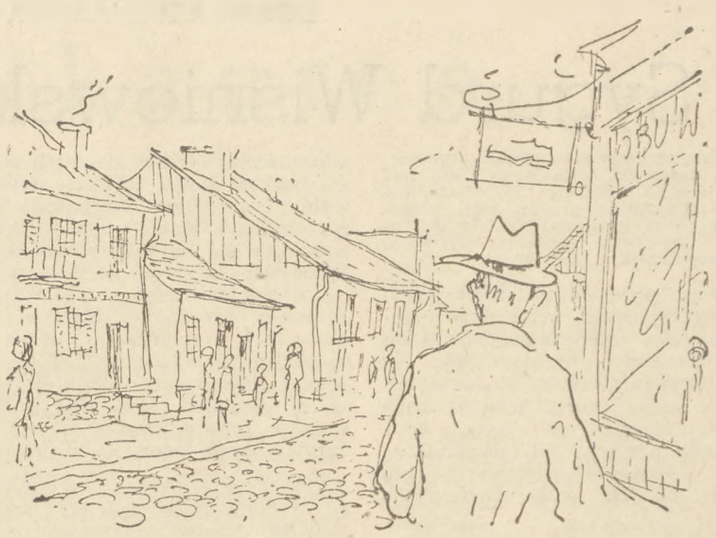

Rys. R. Szłapczyński

Ze szkicownika festiwalowego

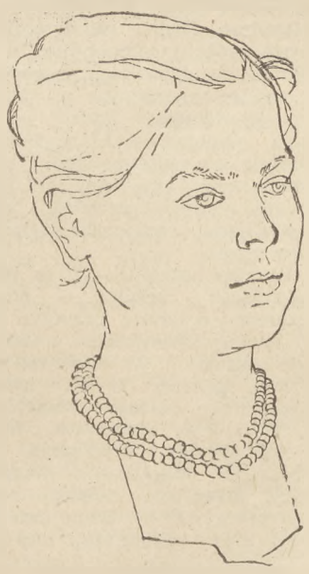

PENCARSKA ZOFIA

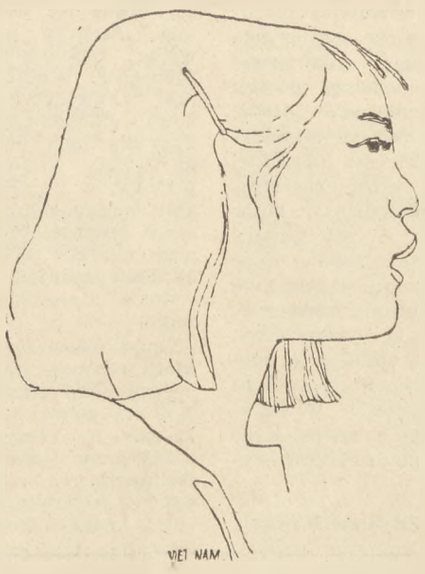

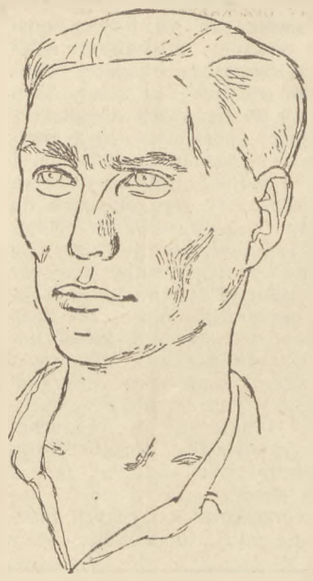

MATUSIEWICZ STANISŁAW *Rys. A. Strumiłło*

Młoda literatura świata walczy o ideały ludzkie

(Rozmowa z wiceprzewodniczącym jury konkursu literackiego Festiwalu — Julianem Stryjkowskim)

4 sierpnia wieczorem odbyło się w bukareszteńskim Atheneum rozdanie nagród licznych konkursów artystycznych zorganizowanych z okazji IV Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Bardzo bogate i cenne plony przyniósł konkurs literacki. Niestety prace konkursowe nie są nam jeszcze udostępnione. Przeto zwróciliśmy się do pisarza polskiego Juliana Stryjkowskiego, który brał udział z ramienia Polski w pracach jury konkursowego, jako wiceprzewodniczący, z prośbą o poinformowanie nas o osiągnięciach konkursu.

Julian Stryjkowski opowiedział nam o zdobyczach ideowych konkursu literackiego Festiwalu.

Ile prac nadesłano na konkurs festiwalowy, jaki jest zakres ich problematyki?

Na konkurs nadeszło około 400 prac literackich z kilkudziesięciu krajów świata. Brały w nim udział kraje, które nigdy dotąd w podobnych konkursach nie uczestniczyły, jak np. Trynidad (Ameryka Środkowa), Haiti i inne. Poziom ich naturalnie był bardzo różny, od słabych, niewprawnych do naprawdę wybitnych. Wśród uczestników konkursu znajdowali się prozaicy i poeci o głośnych na świecie nazwiskach, obok ludzi którzy z trudem opanowali umiejętność pisania.

Tematyka utworów imponowała różnorodnością i oryginalnością: tylko część ich dotyczyła bezpośrednio Festiwalu, reszta mówiła o żywotnych sprawach życia narodów, o walce o pokój, o dążeniach wyzwoleńczych krajów kolonialnych — o budownictwie w krajach wolnych od ucisku kapitalistycznego. Trzeba powiedzieć, że owa bogata tematyka literacka przepojona była zawsze osobistym uczuciem, tonem głębokiego zaangażowania. Nie mogę sobie odmówić przyjemności, by nie wspomnieć chociaż o dwóch wybitnych poematach. Pierwszy poemat młodej poetki vietnamskiej Twan Hung Hnug jest napisany w formie listu do męża na front. Ze strof poematu zieje nienawiść do sprawców brudnej wojny, a jednocześnie przepaja je marzenie o szczęściu społecznym i osobistym. W drugim poemacie — Koreańczyk Coi Engwan opisuje swój powrót na zgliszcza rodzinnej wioski. Wspomniałem w pierwszym rzędzie o tych dwóch poematach, chociaż cennych utworów wymienić można więcej, wyróżnia je bowiem wyjątkowa prostota, serdeczność, najszlachetniejszy humanizm.

W Bukareszcie po raz pierwszy zobaczyliśmy tak ogromnie szeroki front młodzieży całego świata w dążeniu do pokojowego, przyjacielskiego współżycia, do rozwinięcia tego wszystkiego, co łączy nas w imię ideałów demokracji. Jakie odbicie znalazły te idee w materiałach konkursowych?

Szczególnie trzeba podkreślić duży udział w konkursie piór młodych twórców demokratycznych z krajów kapitalistycznych. Wachlarz przekonań politycznych, społecznych, wachlarz wierzeń religijnych zademonstrowany w nadesłanych utworach literackich był niesłychanie szeroki, lecz zawsze wspólnym ich mianownikiem pozostaje miłość do człowieka bez względu na to gdzie mieszka, jaki ma kolor skóry, jaką wyznaje religię, miłość do człowieka tworzącego w pokojowym trudzie wartości ogólnoludzkie.

Jakie oprócz dwóch wymienionych charakterystyczne zjawiska literackie wyróżniły się na konkursie?

Sądzę, że uzupełnić jeszcze trzeba informację o utworach, które zdobyły najważniejsze odznaczenia, złote lub srebrne medale festiwalowe. Oprócz poematu vietnamskiego i koreańskiego zachwyciło nas przepiękne opowiadanie Hindusa Naftiza o młodym chłopcu, czyścicielu butów, którego deprawują Amerykanie, używając jako przewodnika po domach publicznych. Młody chłopak hinduski marzy o tym, żeby jego młodszy brat nauczył się „czystego fachu", żeby wydobył się z dna nędzy i sponiewierania. Opowiadanie to jest wyjątkowo przejmującym protestem przeciwko amerykańskiej „cywilizacji" niosącej zagładę ludzkiej wolności i pięknu życia.

Poza tym odznaczono złotym medalem poemat pt. „Moja ojczyzna" Charle Marsela, znakomitego poety, wielkiej nadziei poezji francuskiej. W jego mistrzowskiej poezji wzrusza głęboki patriotyzm.

Amerykanin, Richard Davidson stworzył w ludowym tonie utrzymany dramat jednoaktowy o lynczu wstrząsający swoją bezpośredniością, siłą nienawiści i miłości.

Jak wypadły na tle dużych sukcesów utwory polskich pisarzy, które tak gorąco tutaj oklaskiwano?

Polska zajęła wybitne miejsca: srebrnym medalem odznaczono jedno z opowiadań Mariana Brandysa z tomu „Dom odzyskanego dzieciństwa", zaś wyróżnienie otrzymał Bohdan Czeszko za krótkie opowiadanie pt. „Kukułka". Jury bardzo wysoko oceniło opowiadanie Brandysa przemawiające zrozumiałym dla wszystkich językiem braterstwa międzynarodowego.

Również w innych dziedzinach sztuki, w dziedzinie filmu, grafiki i pieśni Polska zdobyła kilka odznaczeń.

Jakie nadzieje wróży konkurs, jeśli chodzi o przyszłość literatury światowej?

W jakim kierunku rozwija się młoda literatura demokratyczna krajów całego świata?

Na podstawie przeczytanych materiałów można stwierdzić, że wszystko co jest żywotne, co walczy o ideały postępowe, stara się odciąć od wyrafinowanej, formalistycznej, abstrakcyjnej, wypranej z treści twórczości dekadentów zachodnioeuropejskich i amerykańskich. Forma i treść utworów konkursowych (jak np. dramat Davidsona) są dla czytelnika masowego na zachodzie zrozumiałe, bliskie, mobilizujące. Ich ideały służą sprawie pokoju i postępu.

Jestem przekonany, że w polskim tłumaczeniu z pewnością najlepsze z utworów konkursowych wzbudzą duże zainteresowanie.

Rozmowę przeprowadził
Tadeusz Drewnowski

ZDZISŁAW NAJDER

Sygurd Wiśniowski odkryty

Sygurd Wiśniowski. Pisma wybrane, (t. I) **Koronacja króla Wysp Fidżi**, oraz inne nowele, obrazki i szkice podróżnicze. Do druku przygotowali, przedmową i przypisami opatrzyli Julian Tuwim i Bolesław Olszewicz. Czytelnik, Warszawa 1953, s. 569, 2 nlb.

Nasza literatura dziewiętnastowieczna będzie jeszcze przez dłuższy zapewne czas terenem pojawiania się najrozmaitszych niespodzianek. Na przypomnienie, nieraz wręcz — odkrycie czeka szereg pisarzy bądź niezauważonych za życia, bądź wkrótce przysypanych niepamięcią, bądź wreszcie zlekceważonych lub zafałszowanych przez burżuazyjne

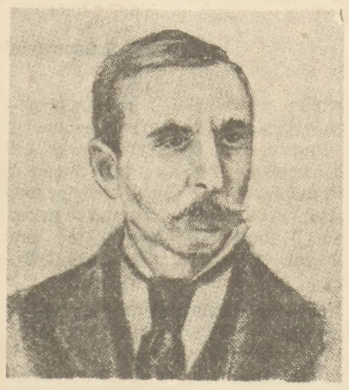

Sygurd Wiśniowski

literaturoznawstwo. Julian Tuwim, poeta - bibliofil i szperacz, wydobył właśnie z zapomnienia podróżnika, dziennikarza i beletrystę Sygurda Wiśniowskiego (1841-92), wydając wespół ze znanym historykiem geografii, prof. Bolesławem Olszewiczem, pierwszy (z przygotowanych trzech) tom jego „Pism wybranych".

Kim był Sygurd Wiśniowski? Podróżnik i włóczęga z zamiłowania, poszukiwacz przygód — w dodatnim znaczeniu tego terminu — po całym świecie, obrońca praw tubylców australijskich, amerykański „polityk" z przypadku i temperamentu — był zarazem przez krótki okres swego życia (1872-81) dziennikarzem, nowelistą i powieściopisarzem. Wysoko ceniony za życia (m. in. przez Sienkiewicza), ale później wkrótce zapomniany, był pisarzem o niewątpliwie wysokiej klasie. Wiśniowski obdarzony był bystrym i oryginalnym zmysłem obserwacyjnym, a wyniki swoich spostrzeżeń umiał oddać żywo, z humorem i plastyką niekiedy wręcz zaskakującą.

Z najwyższym uznaniem powitać tedy należy inicjatywę Tuwima i Olszewicza. Nasza tradycja kulturalna wzbogaciła się o pisarza miary niepośledniej. Talent Wiśniowskiego, mimo wielu błądzeń ideowych pisarza i nierzadkiego ulegania fałszywym konwencjom literackim, był zasadniczo talentem realisty. A utrzymanie się na tej linii nie było łatwe tym bardziej, że Wiśniowski — to pionier literatury egzotycznej w naszej literaturze. Literatury egzotycznej w najlepszym gatunku, opartej na dokładnej znajomości terenu i pozbawionej wszelkich rasowych uprzedzeń, przeciwnie, występującej prawie zawsze w obronie krzywdzonych ludów kolonialnych.

Tom I „Pism wybranych" Sygurda Wiśniowskiego zawiera wybór szkiców literackich z cyklu „Dziesięć lat w Australii", cztery nowele związane tematycznie z pobytem autora w Australii i Oceanii (w latach 1862-72), wybór „Obrazków z życia amerykańskiego" i trzy nowele o tematyce amerykańskiej.

Wiśniowski był talentem samorodnym. Najlepsze efekty osiągał w partiach bezpośrednio sprawozdawczych i opisowych. Jego bezpośredniość nie miała w sobie zresztą nic z naturalizmu. Była to rzeczowość człowieka nawykłego do osobistych zmagań z przyrodą, znającego na wylot jej przejawy i składniki, umiejącego ją bystro obserwować i trafnie wybierać to, co ważne i istotne. Stąd prawdziwie realistyczne są u Wiśniowskiego te opowiadania i szkice, które stoją na pograniczu notatek pamiętnikarskich. Natomiast tam, gdzie większą rolę grać musi element wyobraźni, fikcji literackiej, tam Wiśniowski popadał często w konwencjonalizmy i nienaturalności. Szczególnie wiele ich w twórczości późniejszej (o ile można tak krótki okres podzielić na „później" i „wcześniej") bardziej odległej od realiów. W tym zapewne należy szukać powodu decyzji zerwania z twórczością literacką.

Australijska grupa utworów, o ile razi nas niekiedy właśnie owymi nienaturalnościami (np. w „Pani Jeziora") — to jednocześnie urzeka pięknymi partiami opisowymi, żywością poszczególnych scen i bezkompromisowym realizmem w odmalowaniu życia tubylców i biednej ludności białej. Opowiadanie tytułowe, „Koronacja króla wysp Fidżi", to świetny szkic satyryczny, nakreślony z wielką werwą demaskatorską, odsłaniający kulisy rozprzestrzeniania się władzy białych kolonizatorów i wyzyskiwaczy na wyspach Oceanii. Jest to doskonała próbka zdolności pisarskich Wiśniowskiego.

Wiśniowski, jak już powiedzieliśmy, nie posiadał przesądów rasowych. Ze szczególną sympatią odnosił się (w pismach i w działalności społecznej) do tępionych nieludzko i wypędzanych ze swoich siedzib pierwotnych mieszkańców Australii i Oceanii. Podobnie przyjazny, pełen współczucia, był jego stosunek do Murzynów amerykańskich. Natomiast o Indianach wypowiadał się zdecydowanie negatywnie. Autorzy wstępu, notując lojalnie to odstępstwo od ogólnej postawy (które n. b. nie przeszkodziło Wiśniowskiemu dostrzec licznych nadużyć, dokonywanych wobec Indian przez Amerykanów), traktują je jako „niekonsekwencję". Wydaje się, że nie zachodzi tu taki wypadek. Wiśniowskiego wprowadziły tylko w błąd pewne zjawiska ekonomiczne, tj. to, że Indianie potrzebowali znacznych przestrzeni dla wyżywienia małej liczby osób, i że te przestrzenie mogłyby wyżywić znacznie większą liczbę ubogich emigrantów europejskich. Nie zdawał sobie sprawy, że Indianie płacą tu cenę rozwoju kapitalizmu i wyzysku w Europie.

Sprawami emigrantów interesował się żywo, ale przede wszystkim z patriotycznego punktu widzenia, wskazując na łatwość wynarodowiania się w Ameryce. Wśród szkiców amerykańskich na szczególną uwagę zasługują doskonałe autobiograficzne obrazki z przygotowań do wyborów w Stanach Zjednoczonych, wyborne sceny wybiegów, tricków i szachrajstw specjalistów - macherów od „robienia opinii" i wprowadzania w błąd przeciwników. Surowym i świeżym realizmem tchną także — drobne niestety — sceny z polowań i wypraw. Uczuciem patriotyzmu i przywiązania do najlepszych tradycji literatury narodowej odznacza się „Langenor", nowela zepsuta niestety przez konwencjonalne zakończenie.

„Odkrywcy" opracowali pierwszy tom Wiśniowskiego bardzo starannie, przeprowadzając dobrą selekcję utworów i opatrując je wyczerpującą przedmową (miejscami może nawet nadto wyczerpującą, co czyni ją trochę nieprzejrzystą).

„Czytelnik", wydawca tomu, dał mu przyjemną szatę drukarską i opatrzył solidną płócienną oprawą. Na minus trzeba jednak zapisać wydawnictwu zredagowanie objaśnień pod tekstem (przypisy na końcu pochodzą od przedmówców) oraz pewną poważną lukę w przedmowie. Objaśnienia są dziwnie niekonsekwentne. Na pierwszych sześćdziesięciu paru stronach np. dziewięć razy informuje się czytelnika, że Wiśniowski nazywa tubylców australijskich Murzynami (zresztą i później takie komentarze się zdarzają) — co wskazywałoby na dosyć, powiedzmy, pobłażliwie wątpiący stosunek do możliwości intelektualnych czytelników. Ale inne objaśnienia wskazują, odwrotnie, na zbyt wygórowane wymagania wobec przeciętnego odbiorcy. Objaśnienie na str. 266 do wyrazu „sankiuloci" wymaga dla zrozumienia go... znajomości francuskiego, inaczej bowiem trudno wpaść na związek, jaki to słowo ma ze spodniami. Nie objaśniono poza tym np. takich wyrazów, jak egida, turner, mila geograficzna, dziewica Saragossy itp. Czyni to wszystko wrażenie pewnego bezładu.

Poważniejsza jest sprawa z ową luką w przedmowie. Autorzy przedmowy zajmują się w niej przede wszystkim biografią Wiśniowskiego i ustaleniem jego ogólnej pozycji ideowej i artystycznej, stwierdzając wyraźnie, że „Nie naszym jest zadaniem analiza twórczości literackiej Wiśniowskiego". Z drugiej zaś strony podkreślają, że „odkryty" autor jest dla nas cenny i interesujący właśnie jako pisarz. Trudno mieć pretensję do Tuwima i Olszewicza, że nie stali się literaturoznawcami, ale trzeba ją mieć do wydawnictwa, że nie zajęło się tą sprawą. Na lepszą okazję historyczno-literackiego opracowania twórczości Wiśniowskiego trzeba będzie zapewne długo czekać. A szkoda, bo dzieło jest interesujące.

Zdzisław Najder

CZYTELNIK

Kuo Mo-żo

(Laureat Międzynarodowej Stalinowskiej Nagrody Pokoju)

CZU JUAN—DORADCA KRÓLEWSKI

dramat w 5 aktach

Sztuka historyczna o Czu Juanie chińskim poecie, żyjącym w III w. p. n. e.

Uchwałą Światowej Rady Pokoju w roku bieżącym obchodzimy rocznicę tego wielkiego bohatera narodowego Chin.

Z chińskiego tłum. O. Wojtasiewicz. Str. 140 zł 9—

„CZYTELNIK" K-16519

Reportaż o Służbie Zdrowia

Janina Wierzbowska: 37° z kreskami. Czytelnik 1952.

W „Czytelniku" ukazała się niedawno książka — 210 stron druku — której przy okazji toczącej się w naszej prasie i w naszym życiu literackim dyskusji o reportażu warto trochę uwagi poświęcić. Janina Wierzbowska zebrała pod zgrabnym tytułem „37° z kreskami", reportaże drukowane w piśmie „Służba Zdrowia" na przestrzeni lat 1945 — 1952. Tematem ich jest praca lekarzy w szpitalach i ambulatoriach, walka medycyny z gruźlicą i chorobami społecznymi, praca instytucji zdrowia publicznego. Reportaże te są interesująco napisane, z wyjątkowo dobrą znajomością przedmiotu. Żałować należy, że publikowane były one w piśmie o dość specjalnym odbiorcy — w „Służbie Zdrowia" — a nie w codziennej gazecie, bardziej popularnej, gdzie tego rodzaju żywe opowiadania o sprawach zdrowotnych byłyby nie tylko szeroko czytane, ale mogłyby się stać, z powodzeniem, sposobem informowania o nowych osiągnięciach naszej i światowej medycyny oraz dobrą propagandą niezbędnych rygorów życia codziennego, koniecznych dla zachowania zdrowia, a nazbyt mało przestrzeganych. Janina Wierzbowska realizuje z powodzeniem postulat reportera specjalisty, który ograniczywszy zasięg swej odbiorczej kamery interesuje się wyłącznie jednym zagadnieniem. Ponieważ zagadnienia medyczne są nader bogate w problemy interesujące niemal każdego — powstał łatwo czytelny tomik, który umiejętnie kolportowany może odegrać rolę w popularyzacji zasad higieny publicznej. Autorka umie opowiadać o chorobach, ich historii, ich zasięgu, o sposobach walki z nimi, potrafi pasjonująco opisać operację i nader ciekawie pogawędzić o zabiegach i badaniach. Przejrzysta kompozycja tomiku ułatwia jego lekturę.

A jednak... A jednak krytyk reportażu czytając tę książeczkę odczuwa, gdy mija zainteresowanie wzbudzone samą techniką opisów pracy lekarskiej, jakiś zasadniczy brak. Mankament ten sprawia, iż lektura zbioru reportaży nie pozostawia w czytelniku zbyt głębokiego śladu, nie pobudza jego myśli.

Rzecz w tym, że — mówiąc językiem z nieco innej dziedziny — na reportażach tych ciąży ich wąski praktycyzm. Są one przede wszystkim reportażami o pracy lekarskiej — owszem, pracy lekarskiej w Polsce Ludowej, autorka notuje starannie charakterystyczne cechy i cyfry rozwoju opieki społeczno-zdrowotnej w Polsce Ludowej — a nie reportażami o wielkim społecznym, państwowym zagadnieniu służby zdrowia. Autorka chętnie opowiada czytelnikom o historii medycyny i o historii leków, ale nie czuje potrzeby umieszczenia relacji o pracy lekarzy i pielęgniarek na szerokim tle przemian ogólnych zaszłych w naszym kraju. Nie czuć w tym zbiorze mocnego wichru rewolucji, która przecież zadecydowała o rozwoju służby zdrowia. Egzotyka opisu operacyjnego zastąpiła perspektywę historyczną. I choć reportaże te dokumentują osiągnięcia naszego czasu — zabrakło w nich owej specyficznej atmosfery kraju budującego socjalizm. Czytelnik nie mający skądinąd potrzebnych informacji musiałby stwierdzić z przytoczonych cyfr i faktów, że w istocie opieka zdrowotna w Polsce poprawiła się poważnie po roku 1945, ale nie dowiedziałby się o najważniejszych, gdyż społecznych, znajdujących się poza medycyną, przyczynach tego rodzaju poprawy. A to sprawia, że trudno nam uznać zbiór reportaży Janiny Wierzbowskiej za dokumentarne podsumowanie naszych społecznych na odcinku służby zdrowia osiągnięć.

„37° z kreskami" jest typowym przykładem jak pewien gatunek reportażu spełniający swą ważną rolę w gazecie czy w tygodniku (szczególnie tak specjalnym!) nie starcza do wydania książkowego. Od książki wymagamy już obrazu bardziej pełnego; jej autor musi być nie tylko reporterem, ale reporterem-publicystą. Wielu reporterskim broszurom publikowanym ostatnio zarzucaliśmy nadmiar czystego komentarza publicystycznego, a niedomiar konkretnego obrazu — wobec Janiny Wierzbowskiej zarzut będzie akurat odwrotny. Niech „37° z kreskami" pełni swą społeczną służbę agitującą o przestrzeganiu praw higieny osobistej i społecznej, ale niech równocześnie inni reporterzy zdają sobie przy lekturze tej książki sprawę z konieczności śmiałych, szerokich, publicystycznych uogólnień społecznych i politycznych, niezbędnych dla reportażu tak zwanego wielkiego. A takim powinny być przede wszystkim reportaże wydawane w formie książkowej.

Kazimierz Koźniewski

Druga Ameryka

Clara Weatherwax. Będzie nas więcej. „Czytelnik", 1952.

Niedawno opowiadał mi wiceprzewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Henrykowie (pow. Ząbkowice Śląskie) o swoim dwudziestoletnim pobycie w Kanadzie. Mój rozmówca stanął mi żywo przed oczami po przeczytaniu książki Clary Weatherwax pt. „Będzie nas więcej". Nie mogłam oprzeć się wrażeniu że tworzywem tej powieści jest życie mego przygodnego znajomego, życie, które — jak się okazuje — przebiega w głównych zarysach tak samo u setek tysięcy ludzi, uwiedzionych w dobie wielkiej imigracji do Ameryki Północnej mirażem amerykańskiego raju.

Akcja powieści „Będzie nas więcej" toczy się w trzydziestych latach. Autorka przedstawia w niej walkę robotników różnych narodowości, (Chińczyków, Japończyków, Filipińczyków i Amerykanów), zatrudnionych na wybrzeżu Pacyfiku jako pracownicy tartaczni, drwale, poławiacze ślimaków, wielorybów itp. Prowadzą oni walkę z kapitalistami, którzy przy pomocy sprzedajnej policji, przekupnego aparatu sądownictwa i łamistrajków usiłują nie dopuścić do powstania klasowego ruchu związkowego.

Opisy warunków pracy w kraju, który zajmuje pierwsze miejsce w świecie, jeśli chodzi o produkcję stali na głowę ludności, są przerażające w swym prymitywiźmie i antyhumanitarności. To zacofanie techniczne ma, rzecz jasna, swe jedyne i wyłączne wytłumaczenie w chęci maksymalnego zysku fabrykantów, zysku osiąganego kosztem bezpieczeństwa i życia robotników. W tym stanie rzeczy wypadki śmierci i kalectwa przy pracy są po prostu nagminne, ale panu Baylissowi — właścicielowi tartaku jak i wszystkim kapitalistycznym przedsiębiorcom na świecie bardziej się opłaca dać niewielkie odszkodowanie w wypadku katastrofy, niż jej przeciwdziałać polepszając warunki pracy. Wilcze prawo produkcji kapitalistycznej działa w całej swej rozciągłości.

Wartość książki Clary Weatherwax, jej znaczenie dla poznania „drugiej Ameryki" polega nie tylko na przedstawieniu nędzy wyzyskiwanych i nie na optymistycznym wydźwięku końcowym.

Powieść „Będzie nas więcej" jest swego rodzaju compendium o amerykańskich związkach zawodowych i „antyzwiązkach" jak np. National Labour Relations Board — instytucja państwowa, która formalnie zajmuje się rozejmstwem między robotnikami i pracodawcami, a faktycznie stanowi narzędzie obrony kapitalistów przed organizacjami robotniczymi.

Autorka potrafiła — i to jest jej największą zasługą — postawić bezbłędną diagnozę przyczyn słabości ruchu robotniczego w opisywanym okresie. W zbeletryzowanej formie, poprzez żywe i zindywidualizowane postaci zdemaskowała m. in. I.W.W. (Industrial Workers of the World) organizację, która zrzeszając robotników wszystkich gałęzi przemysłu mogłaby odegrać postępową rolę w życiu amerykańskiej klasy robotniczej, lecz wskutek anarcho - syndykalistycznych wypaczeń zdradziła interesy klasy robotniczej.

Czytając tę książkę, czuje się, że wyszła ona spod pióra człowieka, który opisywane sprawy zna dobrze, który nie tylko sam doświadczył wszystkich „dobrodziejstw" ustroju kapitalistycznego, ale był działaczem ruchu robotniczego, stojącym na pozycjach ideologii marksizmu.

Częste operowanie kontrastowymi obrazami wydatnie pomogło autorce w plastycznym przedstawieniu środowiska robotniczego i atmosfery, w jakiej żyją i działają fabrykanci. Clara Weatherwax nie ustrzegła się jednak pewnych skrzywień naturalistycznych, zwłaszcza, gdy maluje życie robotników. I tak np. postać Głuptasa — kilkunastoletniego kretyna wraz z opisami wszystkich przejawów tej okrutnej endemicznej choroby nie służy wcale celom poznawczym czy ideologicznym, lecz budzi zamiast pozytywnych uczuć wstręt i odrazę.

Ten mankament powieści wyrównują w pewnej mierze niezwykle ciepło i serdecznie oddane postaci Matki i babci Whittle. Mają one w sobie wiele cech wszystkich proletariackich matek, którym Maksym Gorki wystawił wspaniały pomnik literacki.

Powieść „Będzie nas więcej" otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie na książkę o proletariackiej tematyce, ogłoszonym swego czasu przez postępowe czasopismo amerykańskie „New Masses".

Krystyna Nowakowska

Oblicze papieża i papiestwa

(O nowych książkach na temat Watykanu)

Jesteśmy ostatnio świadkami stale zwiększającej się aktywności politycznej Watykanu.

Nie zawsze jednak obserwator bieżących wydarzeń politycznych, czytelnik prasy umie i może ustawić na tle historii wydarzenia, których jest świadkiem. Nie chodzi oczywiście o możność przeprowadzenia takiej czy innej historycznej paraleli (choć i to byłoby ciekawe), lecz o zdanie sobie sprawy, że dzisiejsza polityka Watykanu nie jest rzadkim ewenementem jednego okresu historycznego — lecz wyrazem wstecznej ideologii. W prasie codziennej nie zawsze jest czas i miejsce na to, aby na marginesie informacji o wykryciu bandy szpiegowsko-dywersyjnej kierowanej przez księży reakcjonistów, o malwersacjach instytucji kościelnych, czy wykorzystywaniu uczuć religijnych do antypolskiej propagandy — publikować historiozoficzne wywody, lub przypominać fakty z lat minionych. Zadaniu temu służy popularna książka, broszura publicystyczna. Do niedawnego czasu książkowe publikacje tego rodzaju należały raczej do rzadkości. Z uznaniem też powitać należy wydanie w okresie ostatnich kilku miesięcy przez „Książkę i Wiedzę" siedmiu książek i broszur, które niewątpliwie przyczynią się do głębszego zrozumienia istoty naszej polemiki ideologicznej z Watykanem, książek o szerokim wachlarzu tematycznym i rodzajowym, książek operujących świetną (i dotąd bardzo słabo u nas znaną) dokumentacją, pochodzącą zresztą przeważnie ze źródeł watykańskich i tzw. zachodnich.

Najciekawszą chyba pozycją (właśnie jeśli o dokumentacje chodzi) jest książka pt. **„Papież Pius XII w świetle własnych przemówień i listów"** (oprac. przez **Andrzeja Nowickiego**). Komentarza odautorskiego jest w niej niewiele, a nawet i ten, który jest, wydaje się — poza słowem wiążącym — zbędny tak jednoznaczną, tak wyraźnie, bez żadnych osłonek reakcyjną (prowadzącą czasem w przeświadczeniu o naiwności wiernych aż od granic śmieszności) treść mają przemówienia i wystąpienia papieża. Autor oparł się się na wydaniach tekstów papieskich takich, jakim odstępstwa od autentyczności nie zarzuci nawet sam Watykan: na oficjalnym wydawnictwie watykańskim zajmującym się publikowaniem wystąpień papieża pn. „Towarzystwo Apostolatu Prasowego". Już samo wydawnictwo dostarcza obfitych danych do rozwiązań na czym apostolat propagowany przez „Apostolat Prasowy" stoi: na 325 przemówień papieża większość z nich oczywiście skierowana jest do Włochów, ale na następnym miejscu znajdują się już Amerykanie do których papież (nie bacząc, że USA nie są bynajmniej krajem katolików) kieruje aż 73 przemówienia.

Interesująca jest w przemówieniach papieża zmiana tonu, w zależności od tego, do jakiej klasy czy grupy społecznej się on zwraca. **„Z żywą radością** witamy was, zgromadzonych tu wokół Nas, **ukochani synowie** — mówi papież do 2.000 uczniów szkoły policji włoskiej. — Waszym zadaniem jest... zapobieganie wykroczeniom przeciw porządkowi publicznemu oraz **stosowanie represji. Jest to misja godna szczególnego szacunku...** mimo to, iż wasza służba nie zawsze i nie we wszystkich okolicznościach spotyka się z życzliwością ludu". To do policji, która strzelała do chłopów zajmujących pańskie ziemie leżące odłogiem. A do chłopów, którzy pragnęli w ten sposób polepszyć swoją dolę: „To grzech pierworodny uczynił pracę na roli tak ciężką". Czy potrzebne komentarze?

W wiekach średnich jednym z zasadniczych motywów teorii teologicznych ojców kościoła było potępianie lichwy, a nawet pieniądza. Minął feudalizm, rycerska moralność została zastąpiona moralnością bankierską — i Watykan szybko przystosował się do niej: „W świętej Ewangelii Boski Nauczyciel nie potępia bogactw... przeciwnie, ma pochwałę i nagrodę dla dobrego i wiernego sługi, który pomnożył otrzymane talenty, a przekleństwo i karę dla gnuśnego sługi, który zakopał pieniądze swego pana w ziemi, zamiast powierzyć je tojs trapeksitajs, to znaczy bankierom i otrzymać należny zysk" — mówi Pius XII w przemówieniu skierowanym do przedstawicieli Banku Włoskiego, przemówieniu przypominającym teksty opracowywane przez reklamowe agencje. Watykan sam jest zresztą swego rodzaju bankierską potęgą, a Pius XII Pacelli pochodzi z bankierskiej rodziny.

Sprawom finansowych machinacji świętobliwych banków poświęcona jest druga z omawianych tu pozycji pt. **„Watykanski bank Pacellich"**. Miejscami do złudzenia przypomina (nie formą, ale przez treść jaką zawiera) sensacyjne kroniki z „vie scandaleuse" burżuazji. Leon XIII, pierwszy z papieży, który dostosował do warunków ustroju kapitalistycznego politykę finansową Watykanu, pierwszy przerobił prywatną kaplicę tradycyjnie sąsiadującą z sypialnią „bożego namiestnika" na pomieszczenie dla dwu kas pancernych. Po śmierci papieża kasy otwarto. Okazało się wówczas, że papież-bankier zebrał prywatny majątek w wysokości piętnastu milionów franków. Te fakty na miarę autentycznych historycznych anegdot mimo iż w książce zajmują sporo miejsca (i z pewnością „uciekawiają ją) są jednak w sumie marginesowe wobec zasadniczej sprawy stanowiącej symptomatyczny (do dziś) przyczynek historii papiestwa: Banco di Roma, bank papieży, wyrósł na potęgę finansową dzięki sprowokowaniu i finansowaniu wojny kolonialnej — podboju Trypolisu i Cyrenaiki przez Włochy. Zestawienie dokumentów z owego czasu — z jednej strony akcji propagandowej za misyjnym rozszerzeniem chrystianizmu na kraje „barbarzyńskie" a z drugiej — wykazu udziałów Banco di Roma w dostawach broni np., jest o wiele bardziej frapujące i jaśniej tłumaczące ideologię Watykanu od opisów wszystkich nieczystych afer finansowych papieży i kardynałów.

Sprawować urząd papieski — to znaczy opanować sofistykę do perfekcji. Wspomniany tu w związku z symbolicznym przerobieniem kaplicy na safes Leon XIII, nauczał jednocześnie w jednej ze swoich bulli: bogactwa ziemskie są przemijające i nie trzeba się o nie ubiegać, gdyż „dopiero po rozstaniu się z naszym obecnym życiem zaczyna się życie prawdziwe". Cytat ten przypomina w swojej pracy pt. **„Ideologia i polityka Watykanu w służbie imperializmu"**. Schelnman omawiając działalność Watykanu na przestrzeni dość długiego okresu czasu czyni to inaczej nieco niż autor omawianych poprzednio pozycji. Praca jego nie tyle wyczerpuje i ustawia jako przykład wybrane zagadnienia — ale stara się naszkicować całość teorii i praktyki kościoła — żywo z nią polemizując.

U podstaw polemiki tej leży (przytoczona przez autora) genialna w swoim skrócie, ideologicznej syntezie (a równocześnie dowcipna) definicja leninowska: „Tego, kto całe życie pracuje i cierpi niedostatek, religia uczy pokory i cierpliwości w życiu ziemskim, pocieszając go nadzieją na nagrodę w niebiesiech, tych zaś, którzy żyją z cudzej pracy, religia uczy filantropii w życiu ziemskim, oferując im bardzo tanio usprawiedliwienie ich eksploatatorskiego bytu i sprzedając po cenach przystępnych bilety do królestwa niebieskiego".

W praktyce ziemskiej — od królestwa niebieskiego woli znacznie Watykan — królestwo ziemskie, konkretnie: władzę państwową. Tym tłumaczyć należy zacięty opór stawiany przez papieży wszelkim próbom rozdziału kościoła od państwa.

Stosunkiem państwa do kościoła (można to brać również odwrotnie: stosunkiem kościoła do państwa) zajmuje się **Henryk Świątkowski** w broszurze pt. **„Stosunek państwa do kościoła w różnych krajach"**. Broszura ta, z pozoru ujmująca rzecz od strony tzw. „natury prawnej" jest w istocie zbiorem argumentów przeciw społecznej demagogii reakcyjnej hierarchii kościelnej, z taką wprawą uprawianej ostatnimi czasy przez episkopat w Polsce za pomocą różnorakich orędzi utkanych misternie sloganami „wolność sumienia", „wolność wyznania", „wolność przekonań" i wszelkimi innymi „wolnościami". Jak te „wolności" wyglądają w jedynym dzisiaj państwie (w sensie prawnym) - **bezpośrednio** rządzonym przez głowę kościoła referuje Świątkowski powołując się na odpowiednie paragrafy **Konstytucji** Citta del Vaticano: Nie ma w tej konstytucji ani jednego słowa o wolności wyznania, natomiast artykuł 3 znosi prawo zrzeszania się, art. 4 — prawo zgromadzeń, zaś art. 8 wszelką wolność słowa. (Boże chroń nas od watykańskich wolności!) Taki miniaturowy ideał państwa jak Watykan jest po prostu bliźniakiem państw faszystowskich. Stąd też wynikały szczególnie bliskie, utrwalone natychmiastowym zawarciem konkordatow, stosunki państewka Piusa XII z państwami faszystowskimi, jak Niemcy Hitlera, Włochy Mussoliniego i Hiszpania Franco.

Faszystowska podszewka bogobojnych watykańskich „Złotych Ostróg" — najwyższego orderu papieskiego, którego „kawalerem był Mussolini — staje się coraz bardziej widoczna przez dym z kadzielnic, wykorzystywanie wiernych do akcji politycznych o całkiem niedwuznacznym charakterze politycznym jest coraz to trudniejsze. Akcja w obronie pokoju zdobywa sobie coraz nowych zwolenników zarówno wśród mas katolickich jak nawet wśród hierarchii kościelnej. Dowodem — **„Kartki z pamiętnika byłego jezuity"** Alighero Tondi, który zrezygnowawszy ze wspaniałej kariery watykańskiej (był wicedyrektorem Instytutu Wyższej Kultury Religijnej w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim) ogłosił w postępowej prasie włoskiej drukiem swe „nawrócenie się na komunizm".*)

Broszurka **Józefa Sikory** pt. **„Biskup Carl Maria Splett"** warta jest dużej uwagi. Na konkretnym przykładzie działalności biskupa w Gdańsku, zestawiając stosunek Spletta do Polski i Polaków, stosunek Spletta do hitleryzmu i stosunek Watykanu do Spletta broszura ta daje wyjaśnienie najbardziej może dla polskich katolików niezrozumiałego, lecz niezaprzeczalnego faktu: dlaczego w czasach Oświęcima, Majdanka, walki wyzwoleńczej naszego narodu nie usłyszeli z ust papieża ani słowa potępienia hitleryzmu i dlaczego dziś słyszą z tych samych ust słowa zachęty i błogosławieństwa pod adresem zachodnio-niemieckich odwetowców. Splett znajduje się od 1946 r. w więzieniu za wysłanie na śmierć szeregu księży polskich, za prześladowanie polskości w Gdańsku. A w roczniku papieskim na r. 1951 na str. 178 figuruje obok „Breslau (Germania)", „Danzig" z biskupem diecezji Carl Maria Spletem. Niewątpliwa demonstracja, protest.

Ten protest „Ojca Kościoła" przeciwko ukaraniu Spletta za jego zbrodnie powtórzył — jak za panią matką — biskup Adamski. Z tego też punktu widzenia ostatnia z pozostałych tu do omówienia pozycji — stenogram z procesu kurii krakowskiej, który ukazał się pod tytułem **„Proces księdza Lelity i innych agentów wywiadu amerykańskiego"** jest w znacznej mierze wykładnikiem tego, do czego prowadzi stawianie przez reakcyjny kler interesu Watykanu wyżej od interesów narodowych. Mimo że czytelnik pamięta jeszcze sprawozdania z „procesu krakowskiego" — stenogram z przewodu sądowego w całości, łącznie z opuszczanymi przez sprawozdawców w gazetach pozornie mniej ważnymi elementami, jak np. zeznania świadków — jest pasjonującą lekturą przypominającą lekturę powieści.

Na zakończenie trzeba zwrócić uwagę na wspólną, bardzo cenną cechę wszystkich siedmiu książek: rzeczowość, pozostawienie do przemyślenia czytelnikowi, bez zbytniego narzucania się z własną opinią autora, zebranych dokumentów oraz stosunkowo rzadkie w naszej publicystyce ograniczenie sloganowości do minimum. Dzięki temu książki te mogą trafić do rąk i **przekonać** nie tylko czytelników posiadających materialistyczny światopogląd, lecz również ludzi wierzących, jeśli są oni szczerymi patriotami.

Stefan Kozicki

*) Ponieważ „Nowa Kultura" zamieściła już swego czasu (zaraz po ukazaniu się pamiętników Tondi po włosku) obszerną z nich recenzję nie będziemy ich tu omawiać raz jeszcze.

JADWIGA ŻYLIŃSKA

Die Bremerstadtmusikanten

Działo się to na wiosnę 1945 r. Nie wiadomo z jakiego powodu część ludzi zabrano z obozu i załadowano do pociągu, którego przeznaczenia nikt nigdy się nie dowiedział, gdyż dojeżdżając do Bremy został zbombardowany. Większość ludzi — zarówno więźniów, jak strażników — zginęła, kilkanaście jednak osób się uratowało. Była to piekielna noc. Zdawało się, że Brema zostanie starta z powierzchni ziemi. Gdyby wśród ocalałych była choć jedna osoba obeznana w Piśmie Świętym, niechybnie uznałaby, że jest to noc, której nadejście zwiastuje Apokalipsa św. Jana: a oto gwiazdy spadły z nieba na ziemię, jak drzewo figowe, gdy wstrząśnięte wiatrem wielkim zrzuca niedojrzałe owoce swoje. I niebo ustąpiło jak zwinięta księga, a wszelkie góry i wyspy poruszone były z miejsc swoich. I zaczęły się błyskawice i wołania i gromy i nastało wielkie trzęsienie ziemi, jakiego nie było nigdy, odkąd ludzie żyli na świecie. — A działo się to wszystko nie za sprawą trąb anielskich, lecz eskadry Liberatorów, która zrzuciła na Bremę trzy rodzaje bomb — burzących, zapalających i fosforowych. Te ostatnie wybuchały płonącą lawą i dusiły w schronach ludzi, którzy konali w wielkich męczarniach.

Zbiegowie pędzili na oślep, padali na ziemię, kryli się w bruzdach i znowu zrywali, żeby uciekać dalej, jak najdalej od złowieszczego pociągu i bombardowanego miasta. W jakiejś chwili przypadli do ziemi. Gdy przebrzmiała detonacja uznieśli głowy. „Tam" krzyknął któryś z nich, wskazując ręką gąszcz drzew.

To, co zrazu wzięli za niewielki zagajnik, było w istocie parkiem, otaczającym zameczek fürstów von Turn und Taxis. Za późno było, żeby się cofnąć, albo też najpewniej byli zanadto zmęczeni, ażeby zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mogło im zagrażać ze strony mieszkańców zameczku. Dość, że gdy rozległo się gwałtowne ujadanie psów, mieli ukryć się w zaroślach i wyczołgać z podejrzanego terenu, przygnęli do jakiejś przybudówki, która być może stanowiła mieszkanie stróża, a może tylko występ muru, co trudno było w panujących ciemnościach rozeznać.

Tymczasem nalot widocznie się skończył: nie było słychać warkotu samolotów, tylko raz po raz wystrzelały z miasta ku górze rowe słupy ognia, a niebo nad Bremą zarzyło się niedobrą czerwienią.

Psy nie przestawały ujadać. Po pewnej chwili zbiegowie zorientowali się, że szczekanie dochodziło z góry, jak gdyby ponad ich głowami. Istotnie, psy nie przebywały w parku, jak z początku sądzili, lecz miotały się, jak oszalałe po galeryjce, biegnącej wzdłuż pierwszego piętra.

— Na — Fritzi — na — Lotti — was ist den los? *) — zapytał ktoś znienacka.

Rozległo się jeszcze gwałtowniejsze szczekanie, po czym wszystko raptownie ucichło. Zapewne psy, zwabione głosem, poszły za nim w głąb domu. Nie wyglądało na to, ażeby w zameczku roiło się od ludzi. Ale mogli to równie dobrze być pozory. Możliwe, że ludzie ukryli się w piwnicach, które stanowiły naturalne schrony. Nie było jednak czasu na żadne medytacje — gdyż nagle usłyszeli przekręcanie klucza w zamku i zaledwie zdążyli uskoczyć, drzwi otwarto i ukazał się w nich stary mężczyzna z długimi, białymi wąsami, z fajką w zębach, ubrany w zielone, myśliwskie ubranie.

Nie wiadomo, kto w tej chwili bardziej był przerażony: samotny starzec z latarką elektryczną w ręku, stojący na progu zamku czy pięciu zbiegów, uwalanych sadzami, ziemią i krwią.

— Um Gottes Willen — wer sind sie? **) — zapytał człowiek w myśliwskim ubraniu. Zapanowała chwila ciszy. Nagle jakiś głos dźwięczny i, jak można by mniemać odrobinę przekorny, gdyby oczywiście groza sytuacji nie wykluczała wszelkiej myśli o przekorze, odpowiedział:

— Die Bremerstadtmusikanten.

✻

Tego samego dnia, w którym działy się wyżej opisane wypadki, wczesnym rankiem dowództwo opuściło swoją kwaterę w zameczku i wyjechało nie wiadomo dokąd. Stary fürst Joachim August Oskar von Turn und Taxis umarł w drugim roku wojny, a niedługo potem syn jego, młody fürst Friedrich Albert dostał się w Afryce do niewoli angielskiej. Po śmierci starego fürsta zameczek służył za kwaterę dla dowództwa wojskowego i nie było w nim żadnej cywilnej osoby poza starym kamerdynerem i klucznikiem jednocześnie — Hermannem. Owej nocy, kiedy zbiegowie wtargnęli do parku, Hermann był jedynym przedstawicielem władzy i porządku w obliczu pięciu więźniów, jak się niebawem domyślił. W sytuacji, w jakiej się znajdowali, szanse były wyrównane: samoloty, które reprezentowały naturalnych sprzymierzeńców aresztantów, odleciały, zostawiwszy ich na łasce i niełasce wrogów. Z drugiej strony wrogowie byli w tej chwili w mniejszości i na żadne natychmiastowe posiłki nie mogli liczyć. Gdy zbiegowie zorientowali się, że istotnie poza Hermannem nie ma w zamku innych lokatorów, wszczęli z nim pertraktacje, Obiecali darować mu życie teraz, a również zagwarantowali bezpieczeństwo po wejściu aliantów, jeżeli będzie ich żywił i zachowywał się wobec nich lojalnie. Hermann czuł obrzydzenie do tych układów, zarazem jednak zdawał sobie sprawę, że warunki były do przyjęcia. Obawiał się tylko niespodziewanej wizyty Sicherheitspolizei. Po wspólnej więc naradzie przecięto druty telefoniczne i zatarasowano drzwi wejściowe, po czym Hermann przygotował im jedzenie, na które zbiegowie rzucili się bez opamiętania i — pomimo przestróg jednego spośród nich, o niepozornym wyglądzie i z szramą na czole, który samorzutnie objął komendę — wszystko pożarli. Po czym oświadczyli, że chcą położyć się spać.

— I wykąpać. — To powiedziała kobieta.

Było ich dwie i trzech mężczyzn, wszyscy jednakowo wychudzeni, z nieprzytomnym spojrzeniem, podobni do upiorów, w każdym razie o tyle, o ile wiemy, jak upiory powinny wyglądać.

Z noclegiem nie było żadnego kłopotu. Mieli do dyspozycji cały zamek: sypialnię starego fürsta nieboszczyka i młodego fürsta Friedricha Alberta, sypialnię starej fürstin Amalii (dawno już umarła, a zwłoki jej spoczywały w grobowcu — mauzoleum, ozdobionym monumentalną choć gustowną rzeźbą w parku) i sypialnię młodej fürstin Felicitas, która wyszła za mąż do Anglii za lorda Rutherforta, kolegę swego brata z Oxfordu, nie licząc numerowanych pokoi gościnnych, na drugim piętrze. Ostatecznie jakoś się rozlokowali.

— A może by na wszelki wypadek zamknąć w piwnicy tego starego? — zapytał ów mały, ze szramą na czole, którą obwiązał sobie czymś, co wyglądało jak kawałek ślubnego welonu lub koronkowej firanki.

Pytanie jego pozostało jednak bez odpowiedzi. Wszyscy byli zbyt zmordowani a zarazem pełni zaufania do losu, który niespodziewanie przeniósł ich z płonącego pociągu i bombardowanego miasta do książęcego zamku i z więźniów zrobił panami feudalnej rezydencji. Oszołomieni rozpełzli się po pokojach i ułożyli do snu. Nie od razu jednak mogli zasnąć. Zapadali w drzemkę i nagle wzdrygali się, jak gdyby na dźwięk alarmu, znowu zasypiali i gwałtownie budzili z panicznym strachem, wywołanym nagłą samotnością. Wreszcie nad ranem zasnęli mocnym snem, bez marzeń, który trwał do godziny czwartej po południu.

Wieczór już nadchodził, kiedy wreszcie zebrali się w dużym hallu na pierwszym piętrze, wzdłuż którego biegła galeryjka, skąd poprzedniej nocy doszło ich ujadanie psów. Teraz Fritzi i Lotti, zaniepokojone pojawieniem się nowych lokatorów, biegały dokoła i obwąchiwały ich z najwyższą nieufnością. Nieufność ta była, jak to się niebawem wyjaśni, całkowicie uzasadniona.

— Czy nie widział kto z was klucznika? — zapytał ten mały, z czołem obwiązanym welonem.

Okazało się, że nikt go od wczoraj nie widział.

— Obszedłem cały zamek i nigdzie go nie znalazłem — dodał po chwili.

— Uciekł? — zapytała jedna z kobiet.

— Nie wiem. Ale na to wygląda.

— Kto by pomyślał, że ten kulas pokustyka na policję — odezwał się niski i nieco zachrypnięty męski głos.

— Ale może jeszcze się znajdzie. Może nas nie zdradził — gorączkowała się druga kobieta.

Stali tak niepewni, co począć, gdy nagle w drzwiach jadalni pojawił się Hermann. Przez moment z niemniejszą od Fritzi i Lotti nieufnością spoglądał na nocnych gości, po czym oświadczył służbiście:

— Gnädige Herrschaften, das diner wartet. *).

✻

Nieufność Hermanna, kiedy przyszedł zaanonsować obiad była zrozumiała, jeśli się zważy, że zbiegowie poprzebierali się w stroje, jakie znaleźli w szafach zamkowych. A że miast normalnego odzienia były tam jedynie mundury galowe i ubrania, przeznaczone na okazje raczej specjalne, wyglądali niczym korowód z Grand Guignolu, parodia galerii portretów książąt Turn und Taxis, co musiało prowadzić do pewnego pomieszania pojęć i autorytetów, zarówno w świadomości psów, jak wiernego Hermanna.

Dwóch spośród zbiegów przebrało się w ubrania młodego fürsta; jeden we frak, do którego założył wełniany szalik w szkocką kratę, drugi w galowy mundur oficera marynarki. Ale dla tego trzeciego, który rej wodził, wszystkie uniformy młodego fürsta były o wiele za obszerne, wynalazł więc sobie staroświecki strój kawalera maltańskiego, po jakimś przodku, który acz książę, również był nikczemnej postaci. Oczywiście ta świetność ubiorów bynajmniej nie zdołała wpłynąć na wyraz tarzy zbiegów, przeciwnie stanowiła wręcz perwersyjny z nim kontrast. W istocie były to twarze skazańców, napiętnowane zbrodnią, jakiej na nich dokonano. Kobiety wyglądały — o ile to możliwe — jeszcze przeraźliwiej. Daremnie trzej mężczyźni usiłowali wyłowić z ich żółtawych twarzy, jak gdyby ulepionych z gliny, jakieś szczegóły, które stanowiły indywidualny czar czy skazę każdej z nich, odnaleźć coś, co by w przybliżeniu pozwoliło odgadnąć jakie były przedtem przed bombardowaniem pociągu, pobytem w obozie i powstaniem w Warszawie. Ale im dłużej się wpatrywali, tym trudniej było im doszukać się jakiegoś uroku w tych twarzach, z których jedna przypominała maskę topielicy, a druga zatroskaną małpkę. Ta o minie smutnej małpki z płową lwią grzywą, przebrana była w czarną sukienną amazonkę z trenem, po nieboszczce fürstin Amalii, druga w kostium pazia, który pozostał zapewne po jakiejś dziecinnej maskaradzie.

Rys. Irena Czarnecka

Pierwszy zabrał głos kawaler maltański:

— Zdaje się, że jak dotąd wyszliśmy cało z tej katastrofy. Lecz zanim tu przyjdą alianci — o ile oczywiście nie uprzedzi ich Gestapo — wypadnie nam jeszcze trochę poczekać. Chciałbym więc wam zaproponować, ażebyśmy ten czas zużyli na poznanie się wzajemne. Nie wiemy o sobie nic, nie znamy nawet swoich nazwisk. Niechaj każdy opowie jakieś zdarzenie ze swego życia, które z tych czy innych powodów przyjdzie mu na myśl.

Nikt nie odpowiedział.

— No cóż, — ciągnął dalej tonem przesadnie niedbałym. — Możemy to w najgorszym razie traktować jako grę towarzyską. Zważcie, że nie wiadomo jak długo przyjdzie nam tu siedzieć. Może kilka godzin, ale równie dobrze może to być kilka dni. Sądzę, że powinniśmy sobie ten czas jakoś urozmaicić. A może ktoś z obecnych ma lepszy pomysł?

— Nie, to jest dobry pomysł — powiedział paź. — Ale kto zacznie pierwszy?

— Ja mogę — odezwał się zachrypnięty mężczyzna we fraku i poprawił szkocki szalik, jak gdyby chciał ukryć pręgę od powroza, z którego urwał się z pod szubienicy.

— Urodziłem się w Samarkandzie, w wozie na dwóch kołach, ciągnionym przez wielbłąda. Rodzice moi byli właścicielami cyrku, którym odbywali wówczas tournee po Azji. Ojciec był za młodu pogromcą, później, uprawiał tresurę koni. Matka chodziła po drucie. Miałem lat osiem, kiedy rodzice moi wrócili do Polski. Na skutek wydarzeń wojennych utracili prawie całą swoją wspaniałą menażerię — lwy, tygrysy, konie i wielbłądy. Musieli zaczynać znów od początku, od trzeciorzędnego cyrku, który objeżdżał małe miasteczka. Nieraz się zastanawiałem, dlaczego w tych małych miasteczkach największą atrakcję stanowiły trzy liliputy, które się do nas przybłąkały w owym czasie i dlaczego, w takim razie, gawiedź małomiasteczkowa nie dawała im żyć. Liliputy mieszkały w wozie, który prędko został wypatrzony przez uliczników, Jak tylko który z liliputów się wychylił, natychmiast obrzucali go kamieniami, grudami błota i wyzwiskami. Ale nie o tym chciałem mówić

Jesień owego roku trwała bardzo długo, tak, że do połowy listopada dawaliśmy przedstawienia. Gdy chwyciły mrozy rodzice postanowili przezimować w miasteczku, w którym staliśmy, licząc, że pobyt tam będzie mniej kosztowny niż w dużym mieście, a do wyżywienia mieliśmy oprócz ludzi, konie, tresowane psy i żyrafę. Nie pamiętam jak się to miasteczko nazywało, wiem tylko, że mieszkał w nim swego czasu diabeł Boruta.

— To była Łęczyca — wtrącił kawaler maltański.

— Tak, Łęczyca. Chodziłem tam na ślizgawkę, gdzie poznałem się z pewnym chłopcem, trochę starszym ode mnie — miał na imię Zbyszek i był synem dyrektora gimnazjum. Pewnego razu Zbyszek zaprosił mnie do siebie i wtedy — jak mi się zdaje — znalazłem się po raz pierwszy w prawdziwym mieszkaniu. Zostałem u nich na podwieczorku. Zbyszek miał siostrę Danusię — takie właśnie mieli imiona z „Krzyżaków", ale to odkrycie zrobiłem dopiero kiedy byłem dorosły. Danusia miała jasne włosy, gibką postać i stopy o wysokim podbiciu. Byłaby idealną tancerką i marzyłem, żeby wstąpiła do naszego cyrku i nauczyła się chodzić po drucie. Ale nigdy jej tego nie powiedziałem. Poza tym miałem jeszcze inne marzenie; mianowicie — łyżwy. Gdyż musicie wiedzieć, że chociaż chodziłem na ślizgawkę, nie miałem łyżew, tylko ślizgałem się po prostu w butach. (jak inne biedne dzieci).

Zbliżała się gwiazdka. Wtedy nieśmiało zwierzyłem się ojcu, że chciałbym dostać łyżwy, wiedziałem bowiem, że na gwiazdkę otrzymam jakiś prezent. Ale ojciec powiedział zatroskany: „Sam wiesz, jak sprawy stoją, musimy dorabiać się od początku, matka sprzedała bransoletkę, którą dostała od szacha perskiego (prawdę mówiąc to wcale nie był szach tylko jakiś generał), żeby utrzymać zwierzęta. A ty chcesz łyżwy? Nie wstyd ci? Wyrosłeś z ubrania, trzeba ci kupić nowe spodnie, te są zupełnie do niczego."

Tymczasem żona dyrektora, która robiła wszystko, co chciał Zbyszek, zaprosiła mnie, żebym przyszedł do nich po wilii. Rodzice moi uważali to zaproszenie za bardzo zaszczytne. A ponieważ i tak miałem dostać nowe ubranie, na gwałt kazali szyć je zaraz u krawca w Łęczycy.

Wilia była u nas bardzo wcześnie, dosłownie z ukazaniem się pierwszej gwiazdy, tak, że gdy przyszedłem do domu dyrektora, zastałem wszystkich jeszcze przy stole wigilijnym. Posadzili mnie między Zbyszkiem i Danusią, która ubrana była w czarną aksamitną sukienkę z białym haftowanym kołnierzem. Ale w myśli stroiłem ją całą w cekiny i widziałem lśniącą jak czaprak araba, na którym popisywał się Johann, woltyżer i clown w jednej osobie. Kiedy wstaliśmy od stołu, Danusia wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Chodź zobaczyć, co dostaliśmy". Wśród różnych prezentów, jakie leżały pod drzewkiem, znajdowała się również para lśniących, nowych łyżew. Na jej widok łzy zakręciły mi się w oczach i straciłem całą ochotę do zabawy. Nigdy w życiu nie pragnąłem już niczego równie gorąco, jak łyżew owej zimy, spędzonej w Łęczycy. Myślałem, że serce pęknie mi z żalu. I gdyby stanął przede mną diabeł Boruta we własnej osobie i zażądał duszy w zamian za łyżwy, kto wie, a raczej na pewno, byłbym mu ją zapisał.

Ale żaden Boruta się nie zjawił i marzenie to zostało — rzec można — na zawsze niespełnione. Gdyż, kiedy w parę lat później dostałem łyżwy, marzyłem już o rowerze. Wtedy ojciec powiedział: „Poczekaj kilka lat, jak zaczniesz zarabiać, kupisz sobie rower". Mając lat siedemnaście zacząłem występować z lwami, a wkrótce potem miałem nie tylko rower i motocykl lecz i samochód. Ale nic nigdy nie miało dla mnie takiego uroku, jak łyżwy owej niezapomnianej zimy w Łęczycy.

Występowałem na różnych arenach Europy, we Francji, Belgii, Holandii, Niemczech. Nieraz w okresie gwiazdki, idąc przez ulice i oglądając wystawy z zabawkami myślałem: „Cóż z tego, że wszystkie te zabawki mogę mieć teraz, kiedy przez całe dzieciństwo nie miałem ani jednej". I myślałem jeszcze ze kiedyś, gdy zobaczę na ulicy jakiegoś chłopca, ślizgającego się po zamarzniętej kałuży, wezmę go do najpiękniejszego sklepu z zabawkami i powiem: „Wybierz sobie, co chcesz". Tak sobie marzyłem. Ale nigdy tego nie zrobiłem. A potem przyszła wojna. Byłem wtedy w Lipsku. Później jeździłem po innych miastach Niemiec i krajów okupowanych. W czterdziestym trzecim roku zostałem aresztowany i zamknięty w obozie za obrazę osoby Führera — ale to nieważne — i nie o tym chciałem mówić.

Chociaż tysiące ludzi ginęło w obozach, nie bardzo wierzyłem, żeby mnie również mogło to spotkać. Ten rodzaj śmierci wydawał mi się po prostu dla mnie nieodpowiedni. A potem zachorowałem na tyfus i wzięli mnie do szpitala. Wtedy, po raz pierwszy, przeszło mi przez myśl, że mogę stamtąd nie wyjść i skończyć jak tylu innych. Ponieważ jestem pogromcą i godzinami całymi przemawiałem do zwierząt, które nie dawały odpowiedzi, byłem przyzwyczajony do prowadzenia swego rodzaju monologów. Teraz, leżąc w szpitalu, mocą starego nawyku zacząłem znowu monologować, tylko, że tym razem monolog mój nie był zwrócony do lwów i tygrysów, lecz do samego siebie. „Cóż, — mówiłem — może rzeczywiście przyjdzie ci tu zdechnąć w tym zapowietrzonym szpitalu, gdzie człowiek nie przedstawia większej wartości niż kupa gnoju. Nie, ten rodzaj śmierci nie uśmiecha ci się wcale. Marzyłeś zawsze o tym, żeby mieć piękną śmierć. Ale czy to takie ważne? Uczyniłeś sobie powolne dzikie bestie, zdobyłeś sławę i majątek, posiadałeś piękne kobiety... Czy to nie dosyć? No, więc zdobądź się na to, żeby w obliczu najbardziej plugawej śmierci, jaką jeden człowiek mógł zgotować drugiemu — gdyż na przeciw okien szpitalnych dymiły kominy krematorium — roześmiać się". I roześmiałem się rzeczywiście.

Był w tym szpitalu lekarz Holender, też więzień. Kiedy roześmiałem się, odwrócił się w moją stronę i zapytał: „Z czego się śmiejecie? — A ja na to: „A czy mi nie wolno?" — „Pewnie że wolno — mówi on — ale przecież tu nikt się nie śmieje". — „To źle — odpowiedziałem. — Ludzie powinni się śmiać. Ludzie są stworzeni do śmiechu. Ja, na przykład, kiedy mój Neron wyszczerzał na mnie kły, zaczynałem się śmiać, a on wtedy od razu robił się potulny". — „Neron to pies?" — pyta on — „Nie, lew". — To byliście dozorcą w Zoo"" — „Niezupełnie. Byłem pogromcą w cyrku Biegler". — „Panie — mówi on — to pan może znał Aksela Koskę." — „Pewnie, że go znałem, bo to ja jestem Aksel Koska."

Ten doktór był porządnym człowiekiem i o wszystkich chorych troszczył się w miarę możności, tylko, że nie wiele mógł zrobić. A po tej rozmowie zaczął się podwójnie o mnie starać, wykradł dla mnie jakieś zastrzyki i postawił mnie na nogi. Nieraz kiedy leżałem w szpitalu, przysiadał na chwilę i zagadywał do mnie. Pewnego razu zapytał: „Gdyby pan mógł tylko jedną rzecz zrobić przed śmiercią, co by pan pragnął uczynić? Jakie jest pana marzenie?" — „Bo ja wiem" — już chciałem odrzec, ale ostatnie jego słowo wywołało ze wspomnień moich owo niespełnione pragnienie z lat dziecinnych i odpowiedziałem bez namysłu: — „Gdybym wiedział, że tylko jedną rzecz mogę zrobić przed śmiercią, chciałbym kupić jakiemuś biednemu dziecku łyżwy na gwiazdkę". — „Dlaczego łyżwy?" — „Zresztą wcale nie musiałyby to być łyżwy, tylko coś, coby miało dla niego takie samo znaczenie". Opowiadanie moje właściwie jest skończone. Może wydało się państwu bardzo głupie. Wiem, że są inne rzeczy ważniejsze niż łyżwy, sam poznałem co to jest głód. Ale mnie się wydaje, że te łyżwy będą jakimś zadośćuczynieniem za moje włąsne dzieciństwo, co oczywiście wszystko razem nie ma nic wspólnego z moim pobytem w obozie — zakończył raptownie. I w tej chwili twarz jego wydała się jak gdyby przeistoczona pod wpływem uczuć tajemnych a błogich, które wypełniały jego wnętrzne.

— Kto wie? — odezwał się kawaler maltański, który, niczym prawdziwy mistrz ceremonii, poczuwał się do odpowiedzialności za przebieg tego zebrania. — Nie chciałbym wyciągać przedwczesnych wniosków z pana opowiadania, ale wydaje mi się, że nie wiele pan skorzystał z pobytu w obozie. Co robić, na początek dobre i to.

— Na początek czego? — zapytał pogromca.

— No, życia, jakie zaczniemy prowadzić, gdy stąd wyjdziemy.

— Co do mnie, chciałbym prowadzić takie samo życie, jak przedtem. I sądzę, że inni również nie pragną niczego innego.

— Owszem, ja pragnę czego innego — odezwał się po raz pierwszy i to z niezwykłą stanowczością, mężczyzna w galowym uniformie oficera marynarki.

— No, widzi pan, oficer marynarki protestuje — powiedział kawaler maltański. A widząc, że tamten poruszył się niespokojnie, dodał żartobliwie: — Przepraszam, że sądzę z pozorów, nie wiem przecież o panu nic poza tym, że jest pan ubrany w uniform oficera marynarki.

— Ja również protestuję — zawołał paź.

— Przeciwko czemu? — dopytywał się kawaler maltański. Ta kobieta intrygowała go od początku. To ona na pytanie kim są, odpowiedziała klucznikowi: „Die Bremerstadtmusikanten".

— Trudno mi to wyrazić. Ale wydaje mi się, że świat nie był najlepiej urządzony, skoro mogło dojść aż do tego. Najgorsze...

— Co najgorsze? —

— Że nie wiem nawet, co należałoby zmienić. A poza tym — zwróciła się w stronę pogromcy — niech pan nie myśli, że posiadanie jakichkolwiek rzeczy może człowieka uchronić od tego, żeby w pewnym momencie serce nie chciało mu pęknąć z żalu.

Byłam jedynaczką, rodzice moi byli zamożni i starali się spełnić wszystkie moje życzenia. Cóż stąd jednak, że w swoim czasie miałam łyżwy i sanki, rakietę do tenisa i kajak... Nie każde marzenie można zrealizować... a przede wszystkim to, co ja chciałabym opowiedzieć nie jest w ogóle marzeniem, tylko pewną historią, która mi się zdarzyła i nie ma nic wspólnego z naszą obecną sytuacją.

— Zaraz zobaczymy, niech pani opowie tę historię. —

— A więc: miałam wtenczas piętnaście lat i przebywałam w stolicy, gdzie uczyłam się tańca, ale to nie należy wcale do rzeczy. Mieszkałam u przyjaciół moich rodziców w uroczej willi na przedmieściu. Pan domu był emerytowanym urzędnikiem M.S.Z. i dużo rozprawiał o wojnie (działo się to w r. 1938) choć zdaje się nie bardzo w nią wierzył. Z drugiej jednak strony wiem, że na wszelki wypadek skupywał dolary.

Była późna jesień. Drzwi z mojego pokoju były otwarte na taras. Siedziałam przy biurku i pisałam list do domu, kiedy zobaczyłam na tarasie kota, a właściwie szkielet kota, pokryty sparszywiałą sierścią. W nieproporcjonalnie dużej, do wychudzonego tułowia, głowie świeciły oczy wielkie i żółte, jak topazy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że był to jakiś kot bezdomny i na wpół zdziczały, który pod wpływem głodu zdecydował się wejść na taras domu i szukać ratunku u ludzi. Nie pojmowałam dlaczego jest tak przeraźliwie wychudzony ani dlaczego nikt nie ulitował się nad nim — przecież nie było wojny i ludzie nie cierpieli głodu — ale oczywiście nie czas było na żadne domysły. Po cichutku, żeby go nie spłoszyć wstałam od biurka i wysunęłam się do kuchni, gdzie ulałam z dzbanuszka trochę mleka na spodek i czym prędzej wróciłam na taras — ale kota już nie było. Natomiast w drzwiach salonu, które również wychodziły na taras stał pan Wyganowski — tak się nazywał mój gospodarz — suchy, szpakowaty z hebanową laseczką w ręku. Zeszłam do ogrodu i zaczęłam najczulszymi słowami przywoływać kota, lecz wszystko było daremne.

Ogród nasz sąsiadował z asfaltowym placykiem, który mieścił się pośrodku trzech bloków mieszkalnych. Na tym placyku stała dozorczyni i coś zamiatała, czy może trzepała dywan. „Pani Majewska, czy pani nie widziała tu kota, takiego burego? był przed chwilą u nas na tarasie i widocznie uciekł". — „Ale — uciekł. Pan Wyganowski z laską na niego wpadł i przepędził. Sama widziałam. A bo co, panienka chciała mu dać mleka?" — „Tak. A nie wie pani dokąd uciekł?" — „Wie panienka co, ja panience coś opowiem — oparła się na trzepaczce. Tak, teraz przypominam sobie, że to była trzepaczka — Ja panience opowiem, jakie to ludzie są niedobre. To była kotka, bezdomna, taka bura, chodziła po śmietnikach i szukała jedzenia. Chciałam ją raz zawołać ale uciekła. Ta kotka miała mieć młode i widać nie mogła już tak skakać po drzewach i łapać wróble, i żywiła się tylko tym, co znalazła na śmietniku. Przez to była taka chuda. Przed paru dniami urodziła na tym placyku cztery kociaki. Na gołym asfalcie, a przecież takie zimno. Ale jakie to mądre stworzenie: brała jednego kociaka po drugim w pyszczek, aż zaniosła wszystkie pod próg do tego szewca, co tam mieszka w suterynie. A jak rano uczniaki od szewca wstali, złapali te kociaki i do worka, żeby je utopić. Ta kotka musiała

(Dokończenie na str. 6-e

„Die Bremerstadtmusikanten" — dosłownie: „Muzykanci miejscy z Bremy", tytuł popularnej bajki Grimma.

*) No Fritzi, no Lotti, co się stało?

**) Na litość boską, kim jesteście?

*) Proszę państwa, obiad podany.

Die Bremerstadtmusikanten

(Dokończenie ze str. 5-ej)

zmiarkować, że chcą im zrobić coś złego, bo czwartego capnęła w zęby i uciekła". — „I nie mogła pani uratować tych kociaków?" — zapytałam. — „Kiedy jak przyszłam do szewca po buty (bo akurat dałam obcasy do zrobienia) było już po wszystkim. Tylko Kacperek opowiadał, że bestia w pysku kociaki przyniosła, a jak zapytałam czy wzięli je do izby, on w śmiech: „Akurat — powiada — my je do worka, żeby potopić, a ona cap w zęby czwartego i uciekła". I śmieje się..—" „Pani Majewska — mowię — ja muszę tę kotkę odszukać". — „A gdzie my ją będziemy szukać? Chyba by sama przyszła. Ale trzeci raz już nie przyjdzie do ludzi. Widzi pani, takie niby nierozumne stworzenie, ale zawsze matka: jak kociaki do worka wrzucili od razu zmiarkowała, że coś złego chcą im zrobić. Niech panienka nie płacze. Pewnie, że takie ludzie, to Boga w sercu nie mają". Pani Majewska powiedziała: „Niech panienka nie płacze", ale jakże nie miałam płakać na myśl o tym stworzeniu, które pomimo wszystko, co je od ludzi spotkało, raz jeszcze przyszło do nich, ażeby uratować od głodu swoje dziecko i raz jeszcze zostało przez nich odepchnięte. —

Na chwilę umilkła. I dopiero teraz zobaczyli, że oczy jej były pełne łez. I że w ciągu opowiadania jej twarz sino-żółta, jak u topielicy, przeistoczyła się zupełnie, zaczęła pulsować życiem i czułością.

— Państwo się może dziwią — zaczęła po chwili — że moje opowiadanie było o kocie. Ale czy rzeczywiście było o kocie tylko? Czy nie jest to może historia okrucieństwa człowieka, który ma tak nieskończenie różne środ do dyspozycji — od hebanowej laski pana Wyganowskiego i worka czeladników szewskich aż do obozów śmierci? W ciągu kilku następnych dni wystawiałam spodeczek z mlekiem, wołałam, szukałam i czekałam, ale moja kotka nigdy już nie przyszła. Myślę, że umarła z głodu. —

— Oh proszę pani, tak łatwo się z głodu nie umiera — powiedział naraz kawaler maltański głosem tak wzruszonym, jak gdyby zupełnie zapomniał o swojej funkcji mistrza ceremonii — pani nie ma wyobrażenia, co człowiek może wytrzymać.

— Ale to przecież był kot.

— Racja, że kot. Przepraszam panią. To głupio z mojej strony, że mi się pomyliło. Ale ta historia przypomniała mi pewne zdarzenie z mego własnego życia. Muszę jednak zacząć od początku.

Urodziłem się w rodzinie robotniczej. Było nas siedmioro dzieci, ja byłem piąty z rzędu i kiedy pani opowiadała o tej kotce uprzytomniłem sobie, że ja przez całe swoje dzieciństwo byłem głodny. Właściwie przez całe swoje życie. Bywały dnie, kiedy się najadałem do syta, ale to były zawsze tylko dnie Jako dziecko, jako chłopiec, na studiach, jako początkujący dziennikarz, w obozie. Nigdy nie miałem w dostatecznej ilości tłuszczu i witamin, mydła i wody, słońca i powietrza... Powiedziała pani, że okrucieństwo ludzkie tak wielu różnymi środkami rozporządza, od laski pana Wyganowskiego i worka czeladników szewskich aż do obozów śmierci. Chwileczkę, powiedziała to pani jednym tchem, ale ja sądzę, że nie należy stawiać znaku równania między nimi. Czy zastanowiła się pani, jakie były motywy postępowania jednych i drugiego? Wierzę pani, że te chłopaki to byli niegodziwcy, którzy z satysfakcją potopili kocięta. Ale możliwe także, że ci niegodziwcy mieli ojczyma, który katował ich matkę i młodsze rodzeństwo. A może jeden z nich był synem wdowy, która oddała go na naukę do szewca, ażeby jak to się mówi wyszedł na ludzi. Szewc był pijak, a szewcowa kutwa, i każde na swój sposób znęcało się nad małym chłopcem, który nie chcąc martwić matki ukrywał przed nią siniaki i nie przyznawał się, że musiał wykradać szewcowej chleb, albowiem matka była pobożną kobietą i toby ją zmartwiło, że ma syna złodzieja. Potem, wyobrażam sobie, chłopiec zbliżył się do jakiegoś kolegi, który przedwcześnie widział rzeczy, nieprzeznaczone dla jego oczu. Może siostra jego miała nieślubne dziecko, które pobożne sąsiadki przezywały bękartem, może nieraz słyszał, jak siostra desperowała, że to dziecko przyszło na świat. Widzi pani, w opinii tych wyrostków życie mogło nie być rzeczą tak uroczą i cenną, jak to pani sobie wyobraża. Może sądzili, że chcąc uchronić te kociaki od przyszłego grzebania po śmietnikach najlepiej zrobią, skoro je od razu potopią. Ale to wszystko są moje domysły. Najpewniej byli to źli chłopcy, których nikt nie nauczył być dobrymi, albowiem bito ich za byle przewinienie, tak, że lepiej wiedzieli co to jest okrucieństwo, niż miłosierdzie. Niejedno należy darować tym, którzy znali tylko nędzę i poniewierkę, ale niczego nie wolno darować ludziom, którzy mając władzę i bogactwo sami poniewierali innymi, aż oduczyli ich człowieczeństwa. Wzruszyła się pani do łez losem bezdomnej kotki, ale może gdyby pani nie miała tylu zabawek w dzieciństwie — owi chłopcy nie wrzuciliby do worka małych kociąt...

— Wrzuciliby, wrzucili — przerwał pogromca, widocznie zniecierpliwiony — Jeszcze zanim poszli na naukę do szewca już nie dawali żyć liliputom.

— Cicho, niech pan nie przerywa — wtrącił paź, po czym w stronę kawalera maltańskiego: — To, co pan mówi, brzmi prawie jak nadzieja...

— Oczywiście, gdyby nie było nadziei, nie warto by w ogóle żyć — Potem do pogromcy: Więc sądzi pan, że dzieci proletariackie to urodzeni okrutnicy? Co do mnie, dziwiłem się tylko, że nie wyrastają wszyscy na okrutników i bandytów, skoro się zważy, jak nieludzko obchodzono się z nimi w dzieciństwie. Jeśli użyłem słowa „nieludzko" nie miałem na myśli specjalnego znęcania, a po prostu brak ludzkiego, braterskiego stosunku do nich.

Jak powiedziałem na początku, byłem jednym z siedmiorga dzieci w rodzinie robotniczej. Od najmłodszych lat rwałem się do nauki, nie to jednak wyłącznie zadecydowało, że rodzice oddali mnie do gimnazjum, byłem tak drobny i nędzny, że jako robotnik nie zarobiłbym pewnie na swoje utrzymanie. Ponieważ byłem bardzo zdolny otrzymałem w końcu stypendium i mieszkałem w bursie. Lecz zanim do tego doszło, sypiałem na polowym łóżku razem z dwoma starszymi braćmi, którzy mnie spychali z poduszki, tak, że musiałem opierać głowę na łokciu, przyzwyczajenie, które po dziś dzień mi zostało. Jak tylko sięgnę pamięcią, matka pracowała jako sprzątaczka w sądzie. Stąd znała wszystkich sędziów, prokuratorów i adwokatów. Poznała także jednego z miejscowych lekarzy, który nieraz był wzywany jako biegły do sądu. Pewnego razu lekarz ten powiedział: „Pani Kurkowa, jak tam pani wyrzuca papiery z kosza, a zauważy kiedy znaczek zagraniczny na kopercie, niech pani wytnie go dla mnie, ale koniecznie wytnie, nie odrywa, bo uszkodzonych nie wkleja się do albumu". Od czasu do czasu przychodziły do sądu listy z Ameryki, Francji i Niemiec, a raz nawet jeden przyszedł z Australii. Odtąd matka starannie przebierała papiery w koszach i wyszukiwała koperty z zagranicznymi znaczkami, które potem odnosiła doktorowi. Tego doktora bardzo lubiłem, bo wyleczył mnie, kiedy zachorowałem na dyfteryt i matka mówiła, że gdyby od razu nie dał mi zastrzyku, to byłbym umarł. Ale kiedy wstałem po dyfterycie, byłem bardzo słaby i jeszcze mizerniejszy niż przedtem. O parę kilometrów od miasta mieliśmy na wsi krewnych, to znaczy ojczym matki miał tam parę morgów, ale że to nie był rodzony dziadek, a babka już nie żyła, więc było rzeczą wątpliwą czy zechce mnie wziąć na świeże powietrze i mleko prosto od krowy, jak mówiła matka. Matka była wtedy w ciąży — po raz siódmy — i trudno jej było się poruszać. Ja miałem jedenaście lat. Pewnego popołudnia matka powiedziała: „Władek pójdziesz do doktora, do doktora Jasińskiego, wiesz, co cię leczył, jak byłeś chory i zaniesiesz mu znaczki."

Bóg raczy wiedzieć, co matczysko sobie przy tym imaginowało. W każdym razie wypucowała mnie jak w dzień świąteczny, ubrała w czystą koszulę i powiedziała: „Nie się nie bój, Władek, tylko wejdź śmiało i powiedz, że chcesz oddać coś panu doktorowi osobiście. A jakby nie było pana doktora, to pani doktorowej, ale broń Boże służącej. A jak już wyjdzie pan doktór albo pani doktorowa, to powiedz, że jesteś ten Władek, którego pan doktór wyleczył z dyfterytu i że mama każe się pięknie kłaniać i oddać panu doktorowi znaczki. Nic się nie bój, Władek, na wszystko śmiało odpowiadaj, a jakby ci kazali wejść i chcieli czymś poczęstować albo co, to się nie wstydź, przecież nie twoja wina, że przyszedłeś na świat..."

Doktór Jasiński mieszkał w dzielnicy willowej w starym domu, położonym w głębi ogrodu. Trzeba było wejść przez furtkę w murze, a potem gankiem wyłożonym wielkimi kamiennymi płytami do oszklonych drzwi, przy których znajdował się dzwonek. W miarę jak oddalałem się od rudery, w której mieszkaliśmy i zbliżałem do dzielnicy willowej, coraz bardziej czułem się nieswojo. W końcu gdy znalazłem się przed mosiężną tablicą z nazwiskiem doktora i miałem zadzwonić, ręka mi drżała, jak gdybym był złodziejem, a w każdym razie człowiekiem, którego nieczyste intencje przywiodły na próg tego domu. Prawdopodobnie zresztą intencje moje nie były czyste. Chociaż bowiem między mną i matką nie padły żadne wyraźne sformułowania, oboje liczyliśmy na tę wizytę, jak na jakąś cudowną szansę, która nada całemu mojemu życiu niespodziewany obrót...

Kiedy zadzwoniłem, otworzyła mi drzwi młoda dziewczyna w czarnej sukni i białym fartuszku: „Co powiesz, mały"? — zapytała grzecznie. — „Chciałbym się widzieć z panem doktorem albo z panią doktorową — zacząłem płynnie — jestem Władek Kurok, pan doktór leczył mnie na dyfteryt. Mama przysłała mnie, żebym pięknie podziękował panu doktorowi i oddał mu znaczki" — niebacznie wyrzekłem się z czym przyszedłem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że dziewczyna w czarnej sukni nie jest panią doktorową." „Dobrze to ja oddam panu doktorowi znaczki. Pan doktór się ucieszy". „Ale ja chciałbym się widzieć z panem doktorem". — „Pana doktora nie ma. Jeżeli chcesz oddać znaczki osobiście, musisz przyjść jutro, o godzinie czwartej". „To ja chciałbym oddać znaczki pani doktorowej". — Ale najwidoczniej cierpliwość pokojowej się wyczerpała. „Ja nie będę prosić pani doktorowej dla byle głupstwa. Pani doktorowa gra teraz na fortepianie i nie można jej przeszkadzać. Jak nie chcesz oddać mnie, to przyjdź jutro". Czułem, że wszystko przepadło, że należało wycofać się wcześniej i w ogóle nie mówić z czym przyszedłem. — To ja oddam pani — powiedziałem przez łzy wyciągając rękę z kopertą. W tej chwili muzyka ucichła. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że przez cały czas odkąd otwarto drzwi, słychać było muzykę, która razem z jasnością zalewającą hall, śliską posadzką i głęboką przestrzenią, jaka rozpościerała się przed mymi oczami, potęgowała moje zmieszanie, połączone ze zbożnym zachwytem. W głębi hallu rozsunęły się szklane drzwi i stanęła w nich drobna, śniada pani o czujnej, niespokojnej twarzy i wąskich ustach, w uszach miała olbrzymie szarawe kulki, które bardzo mi się podobały, a jak się później dowiedziałem, nazywały się perłami. — „Co tam, Julciu?" — zapytała rozdrażnionym tonem — „To ten chłopiec od posługaczki z sądu. Przyniósł znaczki dla pana doktora. Pan doktór kazał jej zbierać". — „Ach te znaczki — powiedziała pani nie ukrywając swojej irytacji — pan doktór tyle ma roboty, a znowu będzie siedział do północy i wklejał je do albumu". — W czerwonej, zaciśniętej ręce trzymałem wciąż kopertę z wyciętymi znaczkami. Teraz pokojowa wzięła ją z mojej dłoni i oświadczyła: „Powiedz mamie, że pan doktór pięknie kazał podziękować". — A kiedy chciałem odejść, dodała: „Poczekaj chwilę"; to powiedziawszy cofnęła się, po czym wróciła z jabłkiem w ręce: „Zjedz sobie". — Łagodnie wypchnęła mnie z hallu i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Czułem się straszliwie zawstydzony, jak człowiek, który miał szansę wygrania wielkiego losu, a przez własną głupotę pokpił sprawę. Jak ja matce wytłumaczę, że oddałem znaczki pokojówce, zamiast przyjść następnego dnia o czwartej i doręczyć je panu doktorowi, jak mi to sama zaproponowała? A jeżeli matka zapyta dlaczego nie oddałem znaczków pani doktorowej, skoro ją widziałem, czy na to pytanie potrafię odpowiedzieć? Najwidoczniej pani doktorowa nie podzielała pasji męża do filatelistyki i wcale nie była zachwycona moją wizytą. Ale czy matka to zrozumie?

Powłócząc ociężale nogami i roztrącając butami liście opadłe z kasztanów, którymi była wysadzona aleja, szedłem w stronę starej dzielnicy, gdzie w podwórku zajmowaliśmy mieszkanie nad pralnią. Była może godzina dziewiąta, kiedy stanąłem w drzwiach kuchni z jabłkiem w zaciśniętej dłoni. Ojciec i starsze rodzeństwo znajdowali się w sąsiednim pokoju. W kuchni była tylko matka i Nastka starsza ode mnie o parę lat. Nastka kończyła zmywać naczynia, a matka szorowała podłogę. Przystanąłem w progu i powiodłem zrozpaczonym wzrokiem dokoła. Matka oderwała głowę od podłogi, nad którą była pochylona i popatrzyła na mnie. Potem podniosła się z klęczek i czerwoną, mokrą rękę położyła na mojej głowie: „Chodź, Władek, była dziś na kolację zupa na mleku, taka, jaką lubisz, chodź, zjedz sobie!"

Nigdy więcej nie rozmawialiśmy z matką na temat tej nieudanej wizyty w dzielnicy willowej. Lecz wiele lat później zrozumiałem, że pragnęliśmy z matką niepodobieństwa, że czekaliśmy na swego rodzaju cud, miast gotować się do rozprawy ze światem, który wykopał przepaść nie do przebycia między jednym człowiekiem a drugim.

— Rozumiem pana — odezwał się pogromca niskim, zachrypniętym głosem — Mnie wprawdzie zaprosili do zabawy z dziećmi, ale w gruncie rzeczy i pana i mnie potraktowali, jakbyśmy byli ulepieni z innej gliny niż oni.

— Obawiam się jednak, że pan mnie nie rozumie, gdyż pan pragnie kupić jakiemuś biednemu dziecku łyżwy na gwiazdkę, a ja chciałem zmienić ustrój świata.

— Zgoda, zrobimy i jedno i drugie. Najpierw kupimy łyżwy, a potem będziemy zmieniali ustrój.

Najwidoczniej wino, którego wypił nieco za dużo (Hermann podał do obiadu wino z książęcej piwnicy, może aby dodać splendoru dość skromnemu posiłkowi) uderzyło mu do głowy, gdyż policzki mu pałały i zrobił się nader czupurny.

— Zgoda, ale czy pana nowy ustrój przewiduje opiekę nad liliputami i zwierzętami, ażeby nikomu nie wolno się było nad nimi pastwić?

— Mój nowy ustrój przewiduje różne rzeczy — odparł dziennikarz — ale to nie wystarczy. Potrzebni będą ludzie, tysiące ludzi dobrej woli i żelaznej wytrwałości, albowiem będziemy mieli przeciw sobie wszystkich potentatów ziemi. Będziemy musieli walczyć ze straszną potęgą — ze zmową bogaczy. —

— Ja będę walczyła razem z panem — zawołała histerycznym tonem kobieta w czarnej amazonce, potrząsając lwią grzywą. — Ja wiem, co pan ma na myśli. Ja to znam. Ja państwu opowiem.

Mój mąż poległ w kampanii wrześniowej. Przez całą wojnę — aż do powstania — utrzymywałam siebie, matkę i syna z pieczenia tortów i ciastek. Mieszkałam w dwupiętrowym domu, w którym wszyscy się znali. Na dole miała sklep z modnymi drobiazgami pewna dama, której mąż był w Anglii. Córka jej podawała w eleganckim barze kawowym. Ona sama pochodziła ze wsi i przyzwyczajona była do szerokiego stylu życia. W domu jej roiło się od gości. Ukrywali się u niej oficerowie, schodzili konspiratorzy, raz nocował jakiś zbiegły jeniec angielski. Między mną a właścicielką sklepu zawiązały się wkrótce zażyłe stosunki. Niebawem zaczęła mi się zwierzać, że posłała anonimowo komuś paczkę do Ofiagu, to znowu, że ofiarowała dziesięć dolarów jakiejś zemiance, wypędzonej przez Niemców z majątku. Czułam się wobec niej bardzo nędzna, bo rzeczywiście moje dobre uczynki nie dały się porównać z jej wspaniałymi gestami. W gruncie rzeczy byłam wielkim tchórzem, nie zajmowałam się konspiracją i prawdę powiedziawszy, myślałam jedynie o tym, żeby zapewnić utrzymanie matce i synowi i nie dać się wciągnąć w jakąś historię, która mogłaby zaprowadzić mnie do obozu, gdyż bałam się wprost pomyśleć, co by się wtenczas stało z moimi bliskimi.

Pewnego zimowego wieczoru siedziałam sama w domu, gdy naraz rozległ się dzwonek. Otworzyłam drzwi i ujrzałam stwór zgoła dziwaczny. Była to dziewczynka może jedenastoletnia, tak chuda, że wyglądała po prostu jak szkielet powleczony skórą. Istny strach na wróble. Ubrana była w cudaczne łachmany, męską marynarkę i długi szal z frędzlami a na nogach miała balowe pantofelki. Dziwne, że jej nikt nie zatrzymał, chyba dlatego tylko, że ulice były zaciemnione. Domyśliłam się, że dziewczynka przyszła z getta. Zresztą nie potrzebowałam się niczego domyślać, bo mała zaczęła:

— Czy mogłaby mi pani dać coś do jedzenia? Ale coś, co mogłabym zabrać ze sobą dla mamy i dzieci.

Jak się okazało z dalszej rozmowy, mała była córką zegarmistrza, który ongi miał zakład przy ulicy Siennej. Potem całą rodzinę: ojca, matkę i pięcioro dzieci zamknięto w getcie. Ojciec umarł niebawem. Matka zaczęła się wyprzedawać na żywność dla dzieci. Ale od dawna nie mieli nic, co by można było sprzedać, a w dodatku matka i rodzeństwo zachorowali. Być może na tyfus, ale może też jest to jakaś inna choroba. Jedyną żywicielką rodziny była teraz moja dziewczynka.

Codziennie o zmroku, w momencie gdy strażnik odwracał się w inną stronę, przedostawała się przez dziurę w murze i ruszała w świat wyżebrać trochę jedzenia.

Położyłam przed małą chleb i trochę słoniny, kaszę, mąkę i cukier. Pamiętam, że chociaż zrazu nie miałam zamiaru dać tego czy owego, parę razy wracałam do śpiżarni, żeby ją jeszcze czymś obdarzyć. Mała zabrała wszystkie zapasy, włożyła je do torby i czekała. Dawno skończyła już swoje opowiadanie, ja również nie zachęcałam jej do rozmowy, a ona ciągle nie odchodziła. Mijały minuty. Pomimo całego współczucia dla niej nie miałam ochoty jej przetrzymywać. Nie wiem, czy odczuła moje zniecierpliwienie, czy też — jak nieraz się pocieszam — uznała, że rzeczywiście czas na nią, dość, że westchnęła głęboko i powiedziała:

— To ja już póidę — dźwignęła toboł z ziemi i mężnie ruszyła przed siebie.

Przez dłuższy czas ni stąd ni zowąd przypominała mi się jej postać i to westchnienie, tak bardzo niedziecinne, i zawsze wtedy usiłowałam odegnać jej obraz.

Nadszedł maj 1942 roku. Pewnego popołudnia wstąpiłam do sklepu pani Aksamitowskiej na pogawędkę.

— Wie pani co, takbym się napiła kawy, chodźmy naprzeciw do baru — powiedziała. Zostawiła w sklepie swoją pomocnicę, pannę Krysię i wyszłyśmy na ulicę.

Zbliżał się wieczór i niebo było bardzo czerwone, tylko nad gettem wlokły się smugi ciężkiego, czarnego dymu.

— Jezus Maria — powiedziałam przystanąwszy — mamy pić kawę i jeść ciastka, a tam ludzi żywcem palą.

— No to co? To dlatego nie mamy pić kawy?

Poszłyśmy. Przy drugiej filiżance pani Aksamitowska wróciła do poruszonego przez mnie tematu.

— Oczywiście, że to wielka zbrodnia i ja nigdy bym tego nie zrobiła — a uczyniwszy to zastrzeżenie, dodała — ale czy nie uważa pani, że było ich u nas trochę za dużo? —

Dopiero znacznie później, kiedy po powstaniu znalazłam się w obozie, zrozumiałam cały okropny sens tych słów. Dopiero wówczas, kiedy ja sama znalazłam się wśród tych, których było za dużo i dlatego należało ich zlikwidować, ogarnęła mnie zgroza, na myśl o tym, z jakimi ludźmi się przyjaźniłam, w jakim świecie żyłam.

W zupełnie nowym świetle zobaczyłam panią Aksamitowską z jej konspiratorami, dobrymi uczynkami i dolarami.

Powiedział pan, że będziemy musieli walczyć ze straszliwą potęgą, ze zmową bogaczy, ażeby po tej wojnie nie zechcieli znowu opanować świata. Oni będą chcieli — ja wiem. I znowu będą deklamowali, że wszyscy ludzie są braćmi, a ilekroć w grę będzie wchodził ich interes, powiedzą o tych, co im zawadzają, że jest ich za dużo. Dopóki ludziom wolno będzie bezkarnie głosić takie rzeczy — ani jeden człowiek na świecie nie może czuć się bezpieczny. I jeżeli w tej walce, która nas czeka ja też mogę się na coś przydać — to ja — z panem. — Patetycznym ruchem wyciągnęła ręce w stronę małego dziennikarza i w tej chwili nie była już podobna do zatroskanej małpki. Twarz jej promieniała ogniem zapału, słodki uśmiech igrał na ustach a na zbiedzonych policzkach ukazały się dwa doleczki. Dziennikarz pochwycił jej ręce i milczał wzruszony. Siedzieli nieruchomo, nie mogąc oczu oderwać od siebie, gdy wtem rozległ się głos piątego ze zbiegów:

— Proszę państwa, przysłuchiwałem się temu, co państwo mowili i na koniec ja także chciałbym dorzucić swoje trzy grosze. Powiedziała pani: „W jakim swiecie ja żyłam..." a no, w takim właśnie, ktory dla interesu nie cofnie się nigdy przed niczym, a na dowód, że tak jest na prawdę, opowiem państwu pewną historię.

Ojciec mój był górnikiem. Było nas czworo dzieci, dwoje z pierwszego małżeństwa i dwoje z drugiego. Matki nie pamiętałem, znałem tylko macochę, o której myślałem, że jest zła. Później, zrozumiałem, że to warunki w jakich żyliśmy były złe, nie ona. Ojciec moj naprzemian to pracował to tracił pracę. Matka, a raczej macocha, chodziła do prania. Od switu do nocy harowała, a ojciec, jeśli nie miał pracy w kopalni, godzinami czekał przed Urzędem Zatrudnienia lub wystawał przed dworcem z wózkiem, ażeby odwieźć komuś bagaż do domu. Ale ci, co mieli kufry, brali dorożkę lub taksówkę, a biedacy sami nieśli swoje walizki i tobołki. Czasami po całodziennym staniu, wracał do domu bez grosza zarobku i wtenczas bluźnił Bogu i przeklinał świat i ludzi. No cóż, łyżew nie tylko nie miałem, ale nawet nie byłbym się ośmielił prosić o nie. Tym kotem pewnie też nie byłbym się bardzo przejął, choć miałem parę królików, do których bardzo byłem przywiązany. Ale od początku wiedziałem, że są przeznaczone na mięso, a skórki na kołnierz dla matki. I nigdy mi przez myśl nie przeszło, że mogłyby być po prostu moje, że mógłbym im dawać marchew i kapustę i cieszyć się ich widokiem i nie oddać na użytek domowy. Do dzielnicy willowej — a chowałem się w mieście przemysłowym na Śląsku — w ogóle się nie zapuszczałem w nadziei, żeby coś dobrego mogło stamtąd przyjść do mnie. Czasami ciskałem kamieniami, a w zimie kulami ze śniegu w szyby limuzyn, a czasami starałem się ukraść dojrzały owoc, rosnący za murem, otaczającym jakąś willę. Wytworne panie, wymijając mnie ostrożnie na ulicy, ostrzegały szeptem swoje pociechy: „Uważaj na tego ulicznika..." A ja wywalałem na nie język lub grałem palcami na nosie. „Ulicznik", to było słowo, jakie najczęściej padało pod moim adresem. Ale w jaki sposób mogłem nie być ulicznikiem, skoro chowałem się na ulicy, a do domu przychodziłem tylko na noc? Kto miał mnie nauczyć subtelności uczuć, piękna i wzniosłości? Więc plułem i ciskałem kamieniami w limuzyny na znak pogardy i nienawiści. Ale czyż byłem stworzony do nienawidzenia i pogardy? Na pewno nie. I jakimś cudem niepojętym dla mnie samego, nauczyłem się kochać ten kraj niewdzięczny, który przeznaczył mi tylko rynsztok i kradzione owoce z ogrodów bogaczy. Nie wiem, kiedy to ogarnęło mnie po raz pierwszy. Może jakiegoś wieczoru, gdy poszedłem z dziewczyną do parku i pocałowałem ją. Ale nie, najpewniej to było o wiele wcześniej, kiedy pojechaliśmy z nauczycielem na majówkę albo może wtenczas, gdy macocha zabrała nas, wszystkie dzieci, do lasu na jagody. A może było to wtedy, kiedy jechałem na karuzeli i był wieczór majowy i blady księżyc wschodził na niebie, a dymy unosiły się nad miastem, bo to miasto zawsze było zadymione. Na to pytanie nie umiałbym odpowiedzieć. Dość, że skoro wybuchła wojna, poczułem, że nie żal mi będzie narazić życie za ten las z jagodami i miasto z karuzelą i park, w którym po raz pierwszy pocałowałem dziewczynę. I Bóg mi świadkiem, że nie myślałem wówczas o tej wielkiej krzywdzie, która mi się działa w tej ojczyźnie, lecz o ratowaniu jej przed najeźdźcą. A potem przyszła okupacja. Jeździłem jako szofer prowadząc ciężarówkę, dopóki nie zabrali mnie w głąb Niemiec na roboty. Pracowałem w Bochum w przemyśle metalurgicznym, w fabryce zbrojeniowej, zanim zostałem zamknięty za sabotaż w obozie, do którego wszyscy trafiliśmy w ten czy inny sposób. Na naszym oddziale było kilku cudzoziemców i jeden Niemiec, który kierował naszą pracą. Proszę państwa, to co teraz powiem, wyda się państwu może bluźnierstwem, ale ten Niemiec, to był pierwszy człowiek, nie mówiąc o tym, że był wrogiem, który odnosił do mnie jak do brata. Zresztą nie tylko do mnie, do nas wszystkich. Ten Niemiec był komunistą. I dopiero on mnie nauczył, że ludzie mogą naprawdę być towarzyszami. A także nauczył mnie wielu innych rzeczy, ale o tym nie będę teraz mówił. Kiedy zaczęło się bombardowanie Bochum, przyszedł do nas i powiedział: „Towarzysze, nie możecie zostać w barakach, chodźcie do fabryki. Gwarantuję, że ani jedna bamba nie spadnie na was, bo w tej fabryce jest trzy czwarte kapitału amerykańskiego". Ale myśmy mu mimo wszystko nie wierzyli i nie chcieliśmy pójść do fabryki. Wtedy zaczął na nas krzyczeć i grozić. Więc poszliśmy za nim. I rzeczywiście ani jedna bomba nie spadła na teren fabryki, choć w mieście potężne gmachy waliły się niczym domki z kart. Potem ile razy był nalot, my zaraz do tej fabryki i jakoś wszyscy ocaleliśmy. Myślę, że żołnierze alianccy nic o tym nie wiedzieli, że tak zostali wystrychnięci na dudków. Że podczas gdy oni się wykrwawiali, lotnictwo bombardowało domy mieszkalne zamiast fabryk, które produkowały przeciwko nim broń. —

Skończył. Oczy jego gorzały, a dookoła ust zarysowała się bruzda, która utrwalona, może kiedyś zniekształcić cały wyraz jego oblicza. Ale teraz była to twarz młodzieńcza, pełna zapału i nadziei, jedna z wielu podobnych, choć jedyna i niepowtarzalna.

— Zaproponowałem państwu — podjął dziennikarz — ażeby każdy z nas opowiedział pierwsze lepsze zdarzenie ze swego życia, jakie mu przyjdzie na myśl. I cóż się okazało? Że każde zdarzenie było swego rodzaju kompromitacją tego świata, który w końcu kazał nam wszystkim spotkać się w obozie śmierci. Jakkolwiek trafiliśmy tam różnymi drogami, na jedno chyba zgodzimy się wszyscy: że ci, którzy to przeżyli mają obowiązek zbudować nowy, lepszy świat.

Do pokoju przesączał się wczesny świt wiosenny. Dziennikarz podszedł do okna i otworzył je szeroko.

— Ptaki ćwierkają — szepnęła kobieta w amazonce.

Pogromca wstał i zgasił światło.

W tej chwili w drzwiach salonu pojawił się Hermann.

— Die Amerikaner — powiedział,

⁂

Przez chwilę stali nie mogąc wydobyć ze siebie głosu. Pogromca pierwszy wyszedł z salonu i zaczął po schodach zstępować na dół, gdzie w wielkiej sieni, zawieszonej trofeami myśliwskimi, stali żołnierze amerykańscy.

— Are you the lord of this castle? — zapytał jeden z nich z uszanowaniem*).

— No. I am a lion-tamter**) — odpowiedział pogromca.

Patrzyli na niego nic nie rozumiejąc. Ale już zaczęli schodzić wolno ku nim inni: widma ludzi umarłych, którzy wrócili pod postacią upiorów i ustroili się dziwacznie jak na maskaradę, aż stali się do nikogo i niczego niepodobni, niemożliwi do zidentyfikowania.

— But for God's sake, who are you?***) — zapytał oficer.

Pogromca powiódł bursztynowymi oczami po ich twarzach dziecinnie różowych i zadowolonych z siebie. Nie wiedzieli, co to są obozy śmierci i wierzyli w dobrego Boga, który stworzył Yankesów na obraz i podobieństwo swoje, a poza tym mnóstwo innych ludzi, Murzynów, Chińczyków, a także tych wszystkich z obozów koncentracyjnych.

— Die Bremerstadtmusikanten — padło z ust pogromcy.

— Więc jesteście trupą artystów? — odetchnęli z ulgą, gdyż zasadniczo nie lubili spraw niejasnych i trudnych, a postacie, które mieli przed sobą, wydały się im niesamowite, niczym wyimaginowani Marsjanie.

Wtedy wysunął się naprzód mały dziennikarz, który na początku objął komendę nad zbiegami i odpowiedział w imieniu wszystkich:

— To niemożliwe. Uzgodniliśmy zaledwie program. Na występ nie jesteśmy jeszcze przygotowani.

Jadwiga Żylińska

*) Czy pan jest właścicielem tego zamku?

**) Nie, jestem pogromcą lwów.

***) Ale na litość boską, kim jesteście właściwie?

KORESPONDENCJA

SPÓR O OCENĘ

Niech mi wolno będzie „poniezgadzać" się na łamach Waszego tygodnika z Krzysztofem T. Toeplitzem, który w felietonie „C. K. wyprzedaż" uznał za konieczne wyjaśnić czytelnikom przyczyny powodzenia, jakim w niektórych sferach naszej publiczności kinowej cieszy się austriacki film „Zagubione melodie".

Toeplitz słusznie ocenia międzywojenną komedię austriacką, jako strojenie się w wypłowiałe i wyliniałe wspaniałości C. K. Austrii jako karmienie się mitami, które tak dobrze wpływały na trawienie wiedeńskiego mieszczucha, wytrąconego z równowagi krachem Franza Josepha.

Bieda zaczyna się wówczas, gdy Toeplitz usiłuje nowym niedomaganiom przypisać stare przyczyny i starą terapię. Autor nie dostrzegł, że od lat dwudziestych i trzydziestych austriacki drobnomieszczuch mocno posunął się w łatach, zmienił się więc charakter jego przypadłości.

To, co w jego współczesnych boleściach najistotniejsze, Toeplitz bagatelizuje jako coś, co pozostawia zaledwie „swój ślad na poglądach drobnomieszczaństwa (austriackiego)". Chodzi o amerykanizację Austrii, czyli innymi słowy o bezwzględne pętanie życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego w okowy amerykańskiego stylu życia, wyzutego ze wszystkiego co narodowe, bliskie i drogie każdemu uczciwemu Austriakowi.

Toeplitz imputuje austriackiemu drobnomieszczaństwu bezwzględną sympatię do amerykańskiego okupanta. Według niego mąci ją jedynie to, że okupant amerykański jest zbyt chamowaty, a jego muzyka rozwrzeszczana i niemelodyjna. Poza tym: sielanka, w której Amerykanom niczego w serdecznej gościnie u Austriaków nie brakuje, jako, że — jak pisze Toeplitz — dla austriackiego drobnomieszczanina „lepsi są Amerykanie (mowa o amerykańskich oddziałach i agenturach okupujących Austrię), niż rewolucja!"

Toeplitz zapomina, że bezwzględnymi zwolennikami podporządkowywania krajów zachodniej Europy amerykańskim monopolistom pozostali dzisiaj już tylko ich pobratymcy - monopoliści w tych krajach. Postulat pokojowego i niezawisłego życia narodowego podtrzymują obecnie również i te grupy społeczne, których o rewolucyjność ani przez moment „posądzić" nie można

„mia, go home!" obok robotnika Renault'a woła szofer rzymskiej taksówki, duński producent masła, fabrykant wiedeńskich neseserów, londyński urzędnik. I każdy na swój sposób walczy o realizację tego zawołania.

Twórcy „Zagubionych melodii" również walczą. Na tyle, na ile ich stać: niezdecydowanie, wadliwie, półsłówkowo, niekonsekwentnie — ale walczą.

Trudno mieć pretensję do rowerzysty, że nie porusza się z szybkością lotnika na odrzutowcu. Trudno winić Eduarda Borsody, że nie jest Pudowkinem Mało: trzeba nie tylko nie winić, lecz witać jako sojusznika, ograniczonego w siłach, ale przecież sojusznika w walce o idee, wokół których skupiają się wszyscy uczciwi ludzie na całym świecie.

Walkę tę najkonsekwentniej i z najtrwalszych pozycji prowadzi klasa robotnicza i jej partia, nie wysuwając jednak w krajach kapitalistycznych haseł socjalistycznej rewolucji. Byłoby to nie wybaczalnym awanturnictwem, nic nie mającym wspólnego z marksizmem-leninizmem.

Skąd więc w felietonie „C. K wyprzedaż" alternatywa: Amerykanie albo rewolucja?

Zamiast wskazać na ograniczoność i wątłość oręża, jakim posługuje się Borsody & Co, Toeplitz wylewa dziecko z kąpielą. O słabiuchnym filmie z zapałem cervantesowego herosa woła: to wróg, to resztki, skrawki, konformizm — i wrzuca w ten śmietnik i Straussów, i Lanchera, i piękne tradycje realistycznej narodowej muzyki, którymi słusznie Wiedeń się szczyci, a do których usiłują nawiązać twórcy „Zagubionych melodii". Czynią to nieudolnie, na ile stać jest liberalnego mieszczanina, np. „pozytywna" muzyka młodego kompozytora jest mdła, bezduszna, w gruncie rzeczy — formalistyczna, ale intencje są zdrowe.

Pokazać, dlaczego nieudolnie, wykazywać widzowi niską wartość, na jaką jest skazana sztuka mieszczańska doby obecnej, ale przede wszystkim wydobywać postępowe, zdrowe przesłanki, z których narodził się i którym służy film, a więc — wychowywać widza, uczyć go, podnosić jego świadomość — oto zadania, których Toeplitz nie dojrzał i dlatego spełnić nie mógł. Widząc tłumy przed kasami zaczął przeżuwać „problem": dlaczego?, nie dostrzegając najważniejszego: co robić?

Sprawa dotyczy niklego wydarzenia kulturalnego (trudno wyżej postawić głupiutki film Borsody'ego), Toeplitz poruszył jednak sprawę najistotniejszą dla naszej epoki, i to poruszył opacznie, sądzę więc, że błąd jego nie może pozostać bez sprostowania.

Wiesław Gruszecki
Warszawa

NIEŚCISŁOŚCI „HERKULESÓW"

Redakcja otrzymała obszerną wypowiedź ob. W. Anchimowicza na temat książki J. Stawińskiego „Herkulesy". Ponieważ w uwagach o dobrych i słabych stronach powieści korespondent nasz zgodny jest z publikowaną w naszym piśmie recenzją — pomijamy je, pozostawiając uwagi o drobnych realiach książki:

Jerzy Stawiński nie znał miasta i nie postarał się dokładniej go poznać. Literat radziecki Polewoj opowiada (wspomina o tym Brandys w swoim szkicu literackim), że pewnego razu popełnił błąd podając, że bohater reportażu po przyjściu do domu umył się i uczesał. Jak się później okazało, autentyczny bohater miał głowę łysą jak kolano i rzecz jasna nie był zadowolony z reportażu, bo jego koledzy często mu dokuczali, przypominając o uczesaniu.

Podobnie i z autorem „Herkulesów". Pisze on dwukrotnie, że zegar na wieży kościelnej wybił godzinę. Na żadnej z wież kościelnych w Białymstoku nie ma zegara. Niegdyś był w kościele ewangelickim, lecz zamilkł w pierwszych dniach wojny i dotychczas jest nieczynny. Tak samo i z barem przy ulicy Zamkowej 20, wspomnianym w powieści Na tej ulicy nie tylko baru, lecz nawet i lokalu handlowego nigdy nie było. Co prawda między powieścią i reportażem jest różnica i dopuszczalne są w niej fikcje oparte na fantazji, jednak bardziej przekonywuje książka, która przedstawia miasto, wieś lub zakład pracy takim, jakimi są w rzeczywistości, a nie w wyobraźni autora. Poza tym w Białymstoku nie trudno znaleźć bar i nie trzeba szukać fikcyjnych. Nieścisłości te mimo woli nasuwają myśl czytelnikowi, że autor oglądał miasto przez szybę samochodu.

Obrazek na okładce książki pokazuje czytelnikowi, że występują w niej studenci, lecz trudno w nich poznać młodzież studiującą w białostockiej Akademii Medycznej, bowiem młodzieńcy z obrazka mają na głowach białe czapki z czerwonymi otokami zaś białostoccy akademicy noszą czapki bordowego koloru.

Włodzimierz Anchimowicz
Białystok

PRZYJEMNY KORYTARZ

Na ostatniej komisji przydzielającej pracę, w jednym z miast, powiedział któryś z jej członków absolwentce polonistyki, zatrudnionej dotychczas w bibliotekarstwie: „Szkoda pani do biblioteki, tam przecie wystarczy szkoła podstawowa".

Takiej oceny doczekali się bibliotekarze!

Przecie nic łatwiejszego jak podać z półki żądaną książkę, zapisać w kartotece, wiązyć książkę na miejsce! Lada głupiec nawet to potrafi!

A po co w takim razie szkoły bibliotekarskie? A dlaczego żądania: bibliotekarz ma znać literaturę dawną i współczesną, ma być wychowawcą, ma orientować się w bibliografii i umieć czytelnikowi doradzić, ma mieć wyrobienie polityczne i społeczne, ma badać czytelnictwo, a jeszcze być po trochę artystą: układać wystawki, dbać o estetykę wnętrza i znać praktycznie literictwo ozdobne. Poza tym katalogować i klasyfikować. Być wszystkim tylko nie głupcem.

No i na to ma wystarczyć 7 klas!

Inna rzecz, że w wielu wypadkach wystarczyć musi, albo i jeszcze niższy poziom.

Dlaczego się tak dzieje? Bo kadry bibliotekarskie to jedno falujące morze, albo jeśli kto woli mniej poetyczne, a bardziej realne porównanie — to korytarz...

Chyba do żadnego zawodu nie wstępuje tyle nowych sił jak do bibliotekarstwa. Gdzie się przytulisz, chwilowo bez pracy? Do biblioteki! Tam najprędzej znajdziesz etat, bo już zwalnia się cały szereg tych, którzy znaleźli wygodniejszy dla siebie, a przede wszystkim lepszy chleb. Wejdziesz do korytarza bibliotekarskiego jednym wejściem, przeczekasz, odsapniesz — w przyjemnej i kulturalnej bądź co bądź atmosferze — a już u drugiego wylotu świta ci inna, złocistsza gwiazda. Nuże więc magistrzy i absolwenci wyższych szkół, starzy i młodzi, zdolni i energiczni do biblioteki! A po tym strąciny pył z nóg i odfruniemy przeciwną biamą. Niech zostaną na zawsze w korytarzu słabi, nieudolni, bez innych szans...

Praca bibliotekarza oświatowego wymaga specjalnie osiedlenia się na jednym miejscu, zapoznania się z czytelnikami, terenem, nawiązania kontaktów, ba przyjaźni, nie marnotrawiłoby się wówczas ciągłych wysiłków na uczenie się od nowa wszystkiego, na przełamywanie lodów, szukanie dróg...

Ale jest inaczej. Nawet bibliotekarzy przeszkolonych zawodowo nikt nie utrzyma na papierowym sznurku. Wiadomo: z 6000 bibliotekarzy przeszkolonych pracowało w swym zawodzie w roku ubiegłym 2000. A w jaką przestrzeń międzygwiezdną odpłynęły pieniądze wydane na szkolenie owych 4000? Jaki jest stan obecny — nie wiem, ale fale morskie jeszcze nie ustabilizowały się, płynność nie została zahamowana, mimo że od roku wciąż mówi się o zaradzeniu temu stanowi rzeczy.

Inspektor z Centralnego Zarządu Bibliotek na interpelację w tej sprawie jednej bibliotekarki odpowiedział krótko: „Dość biadolenia — musimy zacząć pracować".

Tylko z kim?

Amelia Łączyńska

JESZCZE O BRAKORÓBSTWIE INTROLIGATORÓW

Przeczytałem notatkę Marka Zakrzewskiego pt. „Książka z przygodami" w numerze 23 „Nowej Kultury". Zainteresowałem się tym szczególnie, bowiem już kilkakrotnie sam spotykałem podobne rzeczy w wielu wydaniach naszych książek. Dla przykładu wymienię kilka bardziej charakterystycznych spośród tych, które posiadam w swojej bibliotece. Czytałem niedawno o „Tajemnicę wojskową" Szejnina, wyd. MON. 1952 w „Bibliotece Prasy". Strony od 9 do 17 tak są ponumerowane, że trzeba czytać według następującej kolejności: str. 9 — 14, 10 — 15, 11 — 17, 13— 14. Po stronie 86 tekst urywa się nagle, brak w ogóle jednej kartki, następna strona 83.

Ostatnio zacząłem czytać „Kapitana pierwszej rangi" Nowikowa-Priboja i znalazłem strony od 92 do 108 — wszyte w tekst następnego utworu, „Opowiadanie Bosmanmata", będącego dopełnieniem książki Nowikowa.

W zbiorku opowiadań Tropaczyńskiej-Ogarkowej pt.: „Mały łącznik Kim Echo" (wyd. „Nasza Księgarnia" 1952) znikło gdzieś całe opowiadanie „Bob i jego dwudziestka", od strony 138 do 160. Może „Nowa Kultura" przypomni jeszcze raz komu potrzeba konieczność ukrócenia tych wypadków brakoróbstwa.

Tadeusz Tomkiewicz
Szewnica, pow. Wołomin

CZYTELNIK

Antoni Czechow

UTWORY WYBRANE

(Złota Seria Literatury Rosyjskiej)
Wybór utworów wielkiego realisty XIX w. w przekładzie Marii Dąbrowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza i Jerzego Wyszomirskiego
Wstęp Natalii Modzelewskiej.
T. I str. 360 K-16523
T. II str. 376 Cena T. I/II zł 24 —
„CZYTELNIK"

CZYTELNIK

GABRIEL CHEVALLIER

SKANDAL W CLOCHEMERLE

(Biblioteka Satyry)
Iskrząca się humorem powieść z lat dwudziestych ukazująca w zwierciadle ostrej satyry obraz drobnomieszczańskiego zaścianka.
„CZYTELNIK" K 16529
Str. 332 zł 15.—

U PRZYJACIÓŁ

Literaturoznawstwo radzieckie

„Prawda" zamieściła w czerwcu br. artykuł wstępny p. t. „Przezwyciężyć zapóźnienie literaturoznawstwa", w którym m. in. czytamy:

„Społeczeństwo radzieckie i krytyka partyjna udzieliły nieocenionej wprost pomocy literaturoznawcom, zadając potężny cios najrozmaitszym przejawom obcej narodowi radzieckiemu ideologii wyrażającej się w antypatriotycznej, estetyzującej krytyce, recydywach burżuazyjnego nacjonalizmu i kosmopolityzmu, w nihilistycznym stosunku do spuścizny klasycznej, oraz we wszelkiego rodzaju wulgaryzatorstwie i upraszczaniu marksizmu.

Światopogląd marksistowsko-leninowski umożliwia literaturoznawcom i krytykom opieranie analizy i oceny najbardziej skomplikowanych zjawisk literackich na niezachwianej podstawie naukowej. Literaturoznawstwo radzieckie, kontynuujące wielkie tradycje Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa, uzbrojone w marksistowską metodologię, powołane jest do oświetlania po nowemu zagadnień literatury..."

W dalszym ciągu artykuł stwierdza, że chociaż literaturoznawcy i krytycy wydali ostatnio szereg cennych dzieł poświęconych spuściźnie klasycznej i niektórym zagadnieniom współczesnym, to jednak literaturoznawstwo jako całość nie stoi jeszcze na wysokości swojego zadania. Nie ma na przykład dotychczas podręcznika literatury radzieckiej dla szkół wyższych, Instytut Literatury Światowej przy Akademii Nauk ZSRR przewleka opracowanie „Historii Literatury Radzieckiej", brak jest dobrych podręczników o literaturach narodów poszczególnych republik związkowych oraz dzieł o twórczości poszczególnych czołowych pisarzy.

Literatura radziecka pierwsza w świecie uczyniła głównym bohaterem swoich dzieł masy ludowe oraz stworzyła nieśmiertelne wizerunki bojowników i budowniczych nowego życia — wiernych synów Komunistycznej Partii.

„Realizm socjalistyczny — pisze „Prawda" — wymaga wszechstronnego naświetlenia procesów rzeczywistości w jej rozwoju rewolucyjnym, otwiera szerokie pole do wykorzystania całego bogactwa środków artystycznych oraz wszystkich gatunków i rodzajów literackich. Jednak to wielkie doświadczenie ideowe i artystyczne nie znalazło jeszcze dostatecznego uogólnienia w pracach literaturoznawców i krytyków".

Dotyczy to w równej mierze literaturoznawstwa i krytyki w poszczególnych republikach narodowych. „Zadaniem literaturoznawców — pisze „Prawda" — jest ukazanie wspaniałego procesu wzajemnego wzbogacania się literatur bratnich republik".

„Prawda" stwierdza następnie, że „pomimo wszystko nie przezwyciężono dotychczas poważnego nieskoordynowania literaturoznawstwa i krytyki... W szeregu prac, zamiast twórczych myśli panuje cytatologia i scholastyka, dogmatyzm i powtarzanie powszechnie znanych prawd.

Jeszcze do dziś — czytamy w „Prawdzie" — dają znać o sobie przeżytki wulgarnego socjologizmu, ignorującego specyfikę twórczości artystycznej. Niektórzy krytycy i literaturoznawcy uważają, że zadanie ich kończy się na pobieżnym streszczeniu idei utworu, nie zwracając wcale uwagi na zagadnienia typowości, artyzmu, rzemiosła pisarskiego, języka, stylu, kompozycji itd. — a więc tego, co stanowi ciało i krew sztuki. Nasi literaturoznawcy i krytycy powinni zdecydowanie skończyć z przeżytkami wulgarnego socjologizmu i lekceważeniem artyzmu pisarza.

Ważne znaczenie dla rozwoju radzieckiego literaturoznawstwa mają wystąpienia społeczeństwa radzieckiego przeciwko fałszywej teorii bezkonfliktowości.

Marksizm uczy, że żadna nauka nie może rozwijać się bez walki zdań, bez twórczych dyskusji. A jednak w środowisku literaturoznawców słabo jeszcze rozwija się krytyka i samokrytyka, mało odbywa się twórczych, śmiałych i zasadniczych dyskusji, nabrzmiałych problemów literackich. Nie wyplenione jeszcze do końca resztek kastowości, izolacji i kumoterstwa.

W zakończeniu artykułu „Prawda" wyraża nadzieję, że wspólnym wysiłkiem starych i młodych kadr uczonych i krytyków pozostawanie w tyle literaturoznawstwa i krytyki zostanie wkrótce przezwyciężone.

t. ż.

Z życia Z. L. P.

WROCŁAWSKIE CZWARTKI LITERACKIE

Ostatnie przedwakacyjne czwartki literackie wypełnili pisarze wrocławscy, Zelenay, Dawidowicz, Kurowski i Turkow. I co ze szczególnym zadowoleniem trzeba podkreślić — wypełnili je utworami o treści i tematyce nam najbliższej sprawdzalnej codziennym doświadczeniem — o tematyce wrocławskiej.

Omawiany na otwartym zebraniu sekcji twórczej, przygotowany do druku tomik wierszy Tadeusza Zelenaya „Rozstanie z samotnością" — jest dokumentem długiej i trudnej drogi poety od samotniczych, pełnych smutku goryczy i melancholii przeżyć i wzruszeń poety do poezji nasyconej treściami społecznymi, poezji czynnie uczestniczącej w przekształcaniu świata. Dawne wiersze Zelenaya miały charakter kameralny, nieomal całkowicie prywatny. Na próżno byśmy szukali w nich jakichś mocniejszych związków ze współczesnością z życiem i przemianami społecznymi właśnie tu na Dolnym Śląsku. Ich treścią był liryzm rzeczy błahych, nieokreślone, niedopowiedziane nastroje. Coraz częściej jednak, choć z trudem, napór nowych treści społecznych przełamywał krąg samotniczych wzruszeń poety. Już same tytuły wierszy o tym mówią: „Chłopiec z M-5", „Ballada o elektrotechnikum", „Dziewczyna z czytelni", „Wiec protestacyjny" „Spółdzielcom" i inne.

Ale stare środki poetyckiego wyrazu, wywodzące się z poetyki „skamandrytów" nie mogły unieść ciężaru nowej tematyki, a nowej formy nie potrafił jeszcze dla nich poeta znaleźć. W wierszach, które treściowo świadczą już o przezwyciężaniu biernej postawy życiowej poety — obserwujemy jeszcze zubożenie środków wyrazu poetyckiego, rezygnację z takich rygorów poetyckich jak rytm i rym. Ostatnie wiersze Zelenaya dowodzą jednak, że poeta to zachwianie równowagi między formą a treścią przezwycięża i ze nowym treściom da w swych wierszach wyraz artystyczne coraz pełniejszy i doskonalszy. W dyskusji głos zabierali: Teofil Kowalczyk, Tadeusz Lutogniewski, Zbigniew Kubikowski i inni, oraz autor który samokrytycznie ustosunkował się do uwag w dyskusji.

Julian Dawidowicz debiutował w ubiegłym roku powieścią o przeżyciach robotnika polskiego w faszystowskim obozie pt. „Ucieczka". Dlatego też ze szczególnym zainteresowaniem oczekiwaliśmy jego nowej książki pt. „Rozprawa" — której fragment odczytał autor na ostatnim „Czwartku literackim" — tym bardziej, że jest to powieść o ludziach z wrocławskiej Fabryki Wodomierzy, o narodzinach i kształtowaniu się nowej socjalistycznej świadomości, nowego stosunku do pracy. Odczytany fragment nie daje, rzecz jasna, prawa do oceny całej książki, jej wartości artystycznej, jej zalet i wad, ani do wniosków, jak dalece rozwinął się i okrzepł talent młodego pisarza. Pozwala jednak dostrzec bardziej pogłębioną wiedzę autora o człowieku, a także pewne niebezpieczeństwo stylu pisarskiego, na którym zaciążyła reportażowość. Autor w obawie przed niedopowiedzeniem, w trosce o to, aby dać czytelnikom pełny, dokładny obraz sytuacji i charakterów— przeładował opisy szczegółami podpatrzonymi trafnie, ale zacierającymi istotną wymowę i plastykę obrazów, utrudniającymi ogarnięcie całości. Zwrócili na to uwagę dyskutanci: Pierzchała, Zonszajn, Turkow i inni.

Nowa powieść Dawidowicza będzie wkrótce tematem dyskusji na sekcji twórczej wrocławskiego oddziału Związku Literatów Polskich, która pozwoli na pełniejszą jej ocenę.

Dużą korzyść i pomoc przyniosłaby autorowi również dyskusja nad książką w środowisku, które stało się tematem powieści.

Edward Kurowski ukończył niedawno powieść o współczesnej wsi polskiej, a ściślej podwrocławskiej pt. „Widawa". Bohaterami książki są młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy przełamując trudności i opory — dojrzewają, wyrastają na dzielnych, świadomych bojowników o nową wieś.

Wielokonfliktowość powieści kryje w sobie niebezpieczeństwo rozluźnienia konstrukcji i powierzchownego, niepogłębionego dostatecznie rozwiązania tego splotu konfliktów.

Odczytane przez autora dwa fragmenty powieści dobrze świadczą o rozwoju twórczym Kurowskiego, o jego pracy nad ostatecznym ukształtowaniem książki.

Sensacyjna niemal fabuła, żywy dialog, pełen ostrych starć i napięć — sprawiły, że słuchało się tych fragmentów ze szczerym zaciekawieniem. Słabiej udały się Kurowskiemu partie opisowe, niezbyt odkrywcze językowo. Również sylwetka głównego bohatera Andrzeja — wypadła bladzie, na tle wyraziście zarysowanych postaci kułaka Janowiaka, przewodniczącego spółdzielni i małego Kazia.

„O literaturze żydowskiej w Polsce Ludowej" — mówił na ostatnim Czwartku Literackim Izaak Turkow. Zwięzły zarys rozwoju, przegląd osiągnięć oraz problematyki nurtującej współczesną literaturę żydowską w Polsce, przedstawionej przez Turkowa — wypełnił przynajmniej w części dotkliwą lukę w naszej wiedzy o przedmiocie, nie wyczerpując rzecz jasna wszystkich zagadnień wymagających obszerniejszego i głębszego omówienia.

W swym referacie przedstawił Turkow główną i zasadniczą linię jej rozwoju, wykazując nierozerwalnie ścisły związek jej postępowego nurtu z tradycjami ludowymi i dążeniem do realistycznego odbicia rzeczywistości.

Turkow wskazał również na powiązanie tej literatury z postępowym nurtem literatury polskiej: na wspólną wszystkim postępowym pisarzom wiarę w człowieka, szczery internacjonalizm, wspólną walkę o realizację wielkich przemian społecznych, o zwycięstwo socjalizmu i o Pokój.

Wśród pisarzy żydowskich na szczególną uwagę ze względu na wybitne wartości treściowe i formalne zasługuje twórczość poety Binam Hedera, autora kilku tomików pięknych wierszy lirycznych i poematów jak „Droga do Warszawy", „Wiosna w Polsce", „Ziemia Ojczysta" i innych pełnych optymizmu przesiąkniętych romantyką i patosem socjalistycznego budownictwa i walki o Pokój.

Niesposób w krótkim omówieniu ująć choćby najbardziej pobieżnie wybitne osiągnięcia pisarzy żydowskich w Polsce. Dlatego wydaje się rzeczą słuszną i potrzebną opracowanie Antologii Literatury Żydowskiej w Polsce która by czytelnika polskiego zaznajomiła z twórczością takich pisarzy jak Lejb Olick, Dawid Sward, Grzegorz Smolak, Bernard Mark, Binem Heller, Jakub Zonszajn, Szymon Kanc i Izaak Turkow. O zainteresowaniu literaturą żydowską świadczy dyskusja, jaka się po prelekcji Turkowa wywiązała, w której udział wzięli: Leopoldowa, Karpowicz, Łoś, Zelenay, Zonszajn i inni.

KOSZ

Sprawa Lorda Jovitta

W Stanach Zjednoczonych skonfiskowano książkę lorda Jovitta *) i nawet wycofano rozesłane już egzemplarze recenzyjne. Gdy się zważy, że Jovitt to były lord kanclerz Wielkiej Brytanii za rządów Labour Party i wybitny londyński adwokat — sprawa nabiera specjalnego posmaku. Cóż takiego napisał lord Jovitt, że Waszyngton zareagował konfiskatą?

Chodzi konkretnie o spisek, którego centralną figurą stał się wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Nixon. Spisek ten uczynił Nixona — lokalnego kalifornijskiego polityka — osobistością znaną w całym kraju i dał mu w efekcie wiceprezydenturę. Spisek stał się dla Nixona odskocznią do wielkiej politycznej kariery i sławy troskliwego „ojca ojczyzny" do głębi zaniepokojonego losami kraju. Późniejsze rewelacje o łapówkach Nixona wprawdzie rozwiały, a co najmniej osłabiły wagę tego mitu — niemniej spisek zrobił swoje. Zapewnił karierę Nixonowi i unieszczęśliwił Algera Hissa, którego na pięć lat wsadzono do więzienia. Jovitt zapoznał się ze stenogramem procesu Algera Hissa, z różnymi innymi materiałami, a zwłaszcza z książką głównego świadka oskarżenia Chambersa i rozpoczął studia nad wszystkimi realiami spisku. Ich właśnie rezultatem jest skonfiskowana przez władze amerykańskie książka.

Sprawa niewątpliwie warta była trudu. Nie tylko dlatego, że wprowadza odrobinę światła w mroczne zaułki amerykańskiej sprawiedliwości, lecz także i z tego powodu, że stanowi nierozwiązaną po dziś dzień zagadkę. Dlaczego Nixon upatrzył sobie właśnie Hissa na swoją ofiarę? Dlaczego Nixon a ściślej mówiąc interesy i ludzie, którzy za nim stoją widzieli w pognębieniu Hissa swój cel i polityczny sukces? Lord Jovitt nie usiłował tych kwestii rozwiązać. Wstrzymuje się — jak to często zaznacza — od „rozważań politycznych". Ale w rozważaniach ściśle prawnych, analizując amerykański „wymiar sprawiedliwości", znajduje tyle brudu, że trzeba dużego umiaru, by spokojnie prowadzić wywód, unikając nazywania rzeczy po imieniu.

Na pytanie: „dlaczego właśnie Hiss?" odpowiadano różnie. Były głosy, że pognębienie Hissa było skutecznym środkiem w zwalczaniu partii demokratycznej przez partię republikańską. Dowodzono, że w konkurencyjnych walkach różnych klik amerykańskiej burżuazji, Hiss doskonale nadawał się na kozła ofiarnego. Inne opinie głosiły, że w latach histerii wojennej trzeba było zastraszyć burżuazyjną inteligencję, która stawiała pierwsze swe kroki w służbie państwowej pod przemożnym wpływem Roosevelta i patrzyła na świat przez pryzmat jego polityki zagranicznej. Hiss jako wybitny przedstawiciel tej właśnie grupy — miał swoim upadkiem stanowić przestrogę. Miał on rzekomo kiedyś być wyznawcą postępu i za to ma dzisiaj pięcioletni wyrok. Powiadam: kiedyś, gdyż nie w czasie procesu, na którym odżegnywał się od jakichkolwiek związków z myślą postępową. Celowo też użyłem słowa „rzekomo", bo o postępowości Hissa wiemy tylko od prowokatora, szpicla, renegata, a także psychopaty Chambersa.

Nie ferujmy jednak wyroku zanim nie poznamy faktów i głównych postaci waszyngtońskiego spisku.

Alger Hiss rozpoczynał swoją życiową karierę w gorących dniach objęcia sterów rządów przez Roosevelta — w roku 1933 — w Ameryce wyniszczonej kryzysem i szukającej otuchy w zapowiedziach Nowego Ładu. Liczył lat 29 — był więc jak to się mówi obiecującym młodym człowiekiem. Burżuazja amerykańska szukała nie tylko nowych reform, ale nauczona smutnym doświadczeniem fiaska hooverowskich bankrutów, szukała nowych nazwisk i nowych twarzy. Hiss był świetnym nabytkiem. Parę lat przed tym ukończył elitarny uniwersytet Harvard — co jest zawsze legitymacją otwierającą wszystkie drzwi w Waszyngtonie. W Bostonie i w Nowym Yorku pracował jako adwokat w znanych i wpływowych kancelariach. Poznał atmosferę Waszyngtonu, będąc asystentem sędziego sądu najwyższego Holmesa. A więc rutyna, wykształcenie, młodość. Kariera stała otworem. Należało ją tylko zacząć.

Jeżeli Hissa łączyło coś z postępem — to na pewno radykalizm ten nie przekraczał granic waszyngtońskich salonów. Najlepiej świadczyła o tym jego zawrotna kariera. Coraz szybciej i coraz wyżej. Był jednym z filarów Departamentu Stanu, brał udział w konferencji jałtańskiej, organizował konferencję w San Francisco, która powołała do życia O.N.Z., a w końcu, gdy postanowił opuścić służbę państwową, otrzymał nie byle jaką propozycję. Ofertę złożył sam John Foster Dulles, który mu zaproponował a następnie przeprowadził jego wybór na przewodniczącego wielkokapitalistycznej fundacji Carnegie.

To wszystko nie przeszkodziło tajnym reżyserom z Nixonem na czele (przy współudziale zresztą także i Dullesa) zainscenizować proces i wsadzić Hissa do więzienia. Aparat amerykańskiej „sprawiedliwości" wykonał dobrodnie i szybko zamówienie tych wpływowych i cynicznych „dżentelmenów". I tym razem zastosowano chwyt tak nam dobrze znany ze sprawy Rosenbergów. Pamiętamy, że we wszystkich etapach sprawy Rosenbergów powtarzał się ten sam motyw: „przyznajcie się do winy, wskażcie wspólników, a darujemy wam życie... wskażcie... wskażcie... wskażcie" powtarzał prokurator, sędzia, agenci F.B.I. i cała masa oprawców. Rosenbergowie nie chcieli takiej ceny za życie zapłacić. Woleli umrzeć aniżeli fałszywie oskarżać.

Ale są tacy, którzy chcą żyć i to żyć dobrze. Ściślej mówiąc — żyć za 30 tysięcy dolarów rocznie. Tyle właśnie zapłacono Chambersowi za różne fałszywe zeznania. Chambersowi nie grożono śmiercią. Chambers zgłosił się sam. Renegat i szpicel, prowokator i wyrzutek społeczeństwa został natychmiast po zgłoszeniu swej gotowości współpracy z amerykańską policją zaangażowany przez morganowski tygodnik „Time" na współpracownika z pensją 30 tysięcy dolarów rocznie. Podłość Chambersa — jak widać — została bardzo wysoko oceniona. Dom Morganów — właściciel tygodnika „Time" — szybko zorientował się, że Chambers jest zdolny do wszystkiego. Dom Morganów polegał na „dobrych" rekomendacjach, które Chambers przedstawił. Przecież sam Don Levine go polecał.

Przypatrzmy się bliżej temu protektorowi Chambersa. Don Levine to oficjalnie mały, nieznany dziennikarz, bez talentu i popularności. Ale Don Levine jest zawodowym protektorem zdrajców najrozmaitszego rodzaju. Don Levine'owi wystarcza tylko jedna legitymacja — dowód zdrady. Jeżeli ktoś chce opluć jadem nienawiści swój kraj i swój naród, jeżeli chce obryzgać błotem swoją przeszłość, a na klasę robotniczą i jej partię rzucić najnikczemniejsze obelgi, znajdzie w Don Levinie protektora i sprzymierzeńca. Don Levine to uczestnik różnych tak zwanych „krucjat wolności" finansowanych z funduszu 100 milionów dolarów, uchwalonych przez Kongres USA na finansowanie dywersji i szpiegostwa w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej.

Dlatego też Chambers pierwsze renegackie kroki stawia pod opieką Don Levine'a. Otóż Don Levine, ten mały i nieznany dziennikarz, jak się okazuje ma takie wpływy, że od razu wprowadza Chambersa do — jakbyśmy powiedzieli używając naszej nomenklatury — wiceministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, gdzie odbywa się pierwsza konferencja w sprawie Hissa. We trójkę, to znaczy renegat Chambers, jego protektor Don Levine i wiceminister spraw zagranicznych omawiają przeszłość Hissa — wówczas wysokiego urzędnika w Waszyngtonie.

Wtedy właśnie po raz pierwszy skonstruowano oskarżenie Hissa o komunizm. Wprawdzie konstytucja formalnie obowiązująca nie zabrania nikomu być komunistą, jednak w praktyce wygląda to inaczej. Dostaje się parę lat więzienia wprawdzie oficjalnie nie za komunizm, lecz za... „wprowadzenie władzy w błąd". Mimo iż konstytucja zapewnia, że przekonania polityczne są prywatną sprawą każdego człowieka, faszystowskie ustawy umożliwiają jednak prześladowanie każdego, kto o swoich komunistycznych zapatrywaniach nie zawiadomił burżuazyjnych władz w odpowiednim czasie. Ponieważ Chambers zeznał, że Hiss był komunistą, więc na zasadzie ustawy o „wprowadzeniu władzy w błąd", można mu było wytoczyć proces.

Ale procesu na razie nie wytoczono. Do procesu doszło znacznie później. Naprzód wzięła sprawę w swoje ręce osławiona komisja dla badania tzw. antyamerykańskiej działalności, gdzie Nixon dokazywał „cudów waleczności" w pognębieniu Hissa. Chambers zeznawał przed komisją jak z nut: Hiss był aktywistą partyjnym, a on — Chambers stykał się z nim przez całe lata z ramienia partii.

W dalszym ciągu sprawy Chambers rozszerza swój akt oskarżenia. Hiss jest już nie tylko komunistą. Hiss jest także szpiegiem. Na słynnej naradzie u wiceministra spraw zagranicznych nie było mowy o zarzucie szpiegostwa. Mówiło się tylko o komunizmie. Dlaczego te „dowody" szpiegostwa Chambers ukrył i pokazał je dopiero w dalszym toku sprawy — tego sąd amerykański nie usiłował nawet przez chwilę wyświetlić. Dlaczego? Po prostu dlatego, że wszystko od a do zet zostało wyssane z palca, tak jak w procesie Rosenbergów.

Jovitt zadał sobie wiele trudu, by poddać sumiennej analizie „dowody rzeczowe" sprawy. Trudno powtarzać tutaj wszystkie argumenty Jovitta. Jedno nie ulega wątpliwości: amerykańska fabryka wyroków została wystawiona pod pręgierz opinii światowej. Uczucie obrzydzenia ogarnia każdego bez względu na zapatrywania polityczne, gdy śledzi te procesy z całym ich arsenałem podłości, z galerią kryminalnych typów w rodzaju Chambersa jako rzeczników prawa i sprawiedliwości.

Jovitt jednak nie wyciąga z tej sprawy wniosków. Traktuje ją jako błąd, jako omyłkę sprawiedliwości. Nie rozumie, że to nie wyjątek, lecz system, że to nie przypadek, lecz metoda.

Mimo że książka nie dociera do głębi zagadnienia, mimo że brak w niej jest trafnej oceny sytuacji i odpowiednich konkluzji — i tak okazała się niebezpieczną. Widocznie w Waszyngtonie obawiają się, że czytelnik zacznie myśleć samodzielnie o amerykańskich sądach. Do tego nie wolno dopuścić — trzeba więc nakazać konfiskatę książki lorda Jovitta.

Stefan Czarny

*) Jovitt: „Niezwykła sprawa Algera Hissa" — Londyn 1953.

LISTY Z INDONEZJI (I)

CZESŁAW WOJNAROWICZ

Indonezyjskie dysproporcje

Gdyby wyspy indonezyjskie położone były na Oceanie Atlantyckim, a nie Spokojnym, zajmowałyby cała jego szerokość, i zachodnie wybrzeże Sumatry opierałoby się o Kanadę, a linia demarkacyjna, dzieląca indonezyjską część Nowej Gwinei od australijskiej wypadałaby gdzieś w okolicach Paryża. Inaczej mówiąc, odległość od wschodniego do zachodniego krańca Indonezji równa się odległości z Polski do np Indii.

Indonezja składa się z kilku wielkich wysp i kilku tysięcy małych wysepek leżących po obu stronach równika między Półwyspem Malajskim na zachodzie a Australią na wschodzie — łączna powierzchnia tych wysp i wysepek jest 7 razy większa niż powierzchnia Polski. Ludność Indonezji wynosi obecnie 78 milionów. W 1900 roku Indonezyjczyków było 30 milionów, w r. 1930 — 59 milionów, przyrost naturalny netto tzn. po odliczeniu zgonów przewyższa obecnie 1 milion rocznie.

Fot. autora

Wszystko osiąga tu niezwykłe rozmiary

Przed naszym wyjazdem do Indonezji jedna doświadczona znajoma, która niedawno była w Egipcie, radziła Danucie:

„Weź ze sobą futerko. Noce w gorących krajach są bardzo chłodne!"

Futerko leżało już przygotowane do drogi, ale w ostatniej chwili mężowi Danuty coś się w tym wszystkim nie spodobało, futerko zostało w Warszawie i w ten sposób mieszkańcy Djakarty pozbawieni zostali wspaniałej anegdoty, którą by jedne pokolenia Indonezyjczyków mogły przekazywać drugim — białej damy idącej w futrze przez Nagara Baru.

Średnia roczna temperatura Djakarty wynosi 30 st. Celsjusza — średnia temperatura lipca w Warszawie 18,7 st.. Ocean oblewający wyspy indonezyjskie ma stałą temperaturę ok. 30 st., wskutek czego wahania temperatury w Indonezji — zarówno w ciągu roku, jak i doby — są minimalne — różnica między średnią temperaturą poszczególnych miesięcy nie przekracza 1 st., a różnice temperatury w ciągu doby wynoszą maksimum 8 st. Tak zwana pokojowa temperatura w Polsce to 18 st. — mieszkaniec Djakarty taki chłód zna tylko z opowiadań — z doświadczenia nie zna temperatury niższej niż 25 st Z drugiej strony upał w Indonezji nie przekracza nigdy 36-37 st. Cały czas mowa oczywiście o temperaturze powietrza, czyli t.zw. temperaturze „w cieniu" a nie o temperaturze termometru czy ciała wystawionego na prostopadłe promienie słońca.

W niektórych okolicach Indonezji istnieją dwie pory bardziej deszczowe i dwie pory bardziej suche, jednak w większej części kraju przez cały rok trwa jeden sezon — upał z bardzo częstymi ulewnymi deszczami. Roczna ilość opadów w Djakarcie jest pięć razy większa niż w Warszawie.

Każdemu chyba znana jest niewygoda, którą powoduje rozlanie się wody, czy piwa na spodeczek, na którym stoi szklanka — dno szklanki trzeba ciągle w skomplikowany sposób ocierać o krawędź spodeczka czy stołu, gdyż inaczej kapie na spodnie przy każdym podniesieniu naczynia. Zaraz pierwszego dnia pobytu w Djakarcie zmuszeni byliśmy kilka razy zwracać na to uwagę kelnera; nie odnosiło to jednak skutku, jak wtedy są ziliśmy dlatego, że kelner rozumiał tylko po indonezyjsku. Co gorsza okazywało się, że nawet wtedy, kiedy kelner przynosił spodeczek na pozór suchy, po pewnym czasie ze szklanki zaczynało kapać. Wieczorem posiedzieliśmy w restauracji nieco dłużej i wtedy stwierdziliśmy wreszcie, że to wina nie kelnerów, ale indonezyjskiego powietrza — jest ono tak wilgotne, że para skrapla się na zewnętrznej powierzchni naczynia zawierającego jakikolwiek chłodny napój i spływa na spodeczek. Jeżeli szklankę postawi się na dłuższy czas, spodeczek napełnia się wodą po brzeg.

W gorącym, wilgotnym powietrzu wegetacja jest niezwykle bujna — lakierki, postawione wieczór pod łóżkiem, do rana pokrywają się białą pleśnią.

Po powrocie do Polski wiele osób pytało mnie, jak gorąco właściwie jest w Indonezji. Byłem zakłopotany, co odpowiedzieć. Przecież w Polsce też bywały dnie, kiedy temperatura dochodziła do 35 st. w cieniu. Dlaczego więc, kiedy Ludek raz spróbował przejść w Djakarcie w południe z hotelu na pocztę piechotą zrobiło mu się słabo? Na Saharze podobno powietrze jest jak w rozpalonym piecu — o Indonezji tego na pewno nie można powiedzieć. W Indonezji powietrze jest takie, jak w Polsce w upalny dzień w łazience, w której stoi gorąca woda i do której wchodzi się w ubraniu. Albo jak w inkubatorze.

Od kilku dni gazety z niepokojem donoszą, że ciśnienie w jednym z setek indonezyjskich wulkanów podnosi się do krytycznego punktu i należy obawiać się wybuchu. Wulkan położony jest od Djakarty mniej więcej tak daleko, jak Wezuwjusz od Warszawy, tym niemniej Edek dostaje natychmiast od żony (która przecież o tem nie musi wiedzieć) pełen niepokoju list, żeby uważał na siebie, trzymał się z daleka od wulkanu „i że też ciebie zawsze muszą wysyłać w takie niebezpieczne miejsca".

Wulkany stanowią zasadniczy kościec wysp indonezyjskich. Wiele z nich przekracza 4000 m. wysokości, a jeden nawet 5000 — często tworzą one całe górskie łańcuchy i Indonezja jest przeważnie gorzysta. Wulkanicznego pochodzenia gleba, którą pokryte są wyspy, jest niezwykle urodzajna.

Te kilka przyczyn: wysoka i równa temperatura powietrza, jego wilgoć, wielka ilość opadów i bardzo urodzajna gleba powodują, że Indonezja jest jedną wielką cieplarnią — rozmiary Indonezji powodują, że jest to cieplarnia na skalę globu. W Indonezji wszystko rośnie w niezwykłym tempie i rozmiarach — przebywający tu Europejczycy mówią, że jeżeli w ziemię wetknąć laskę, to po miesiącu zbierze się z niej jakieś owoce. Paprocie są wyższe, niż człowiek, bambus rośnie w tempie 30 cm dziennie, a wszystkie nasze podwórzowe chwasty, babki, szczawie i łopuchy dochodzą do jedno- i dwumetrowej wysokości, czy średnicy. Wśród chwastów spotyka się na każdym kroku roślinę, zmieszaną z nimi i niczym się na pozór nie odróżniającą, która wygląda jak nadnaturalnych rozmiarów szczaw o liściach dwumetrowej długości — wystaje ona z każdego rowu, pleni się na każdym ugorze, rośnie nawet w mieście na podwórku pod ścianą szopy, czy na wsi w zbitej gęstwie różnych badyli pod oknem. Roślina nazywa się bananowiec — z każdego pędu bananowca wystrzela długa na metr łaska, która pokrywa się kilkunastu pękami bananów — potem pęd należy obciąć, gdyż więcej już owocował nie będzie. Ryż przy dobrej uprawie można zbierać 3 razy w roku — agronomi twierdzą, że przeciętna wydajność z ha powinna wynosić na Jawie 60 kwintali. Mimo niezwykle niskiego poziomu techniki rolnej Indonezja dawała przed ostatnią wojną 40 proc. światowej produkcji kauczuku, 30 proc. światowej produkcji kopry, 45 proc. światowej produkcji oleju kokosowego, 15 proc. światowej produkcji herbaty, 10 proc. światowej produkcji cukru itd. itd.

Wulkaniczna ziemia Indonezji zawiera poza tym rudy wszystkich metali — produkcja cyny stanowi 20 proc. światowej. Znajdują się tu wielkie złoża niklu, ołowiu i rudy żelaznej, kopalnie srebra eksploatowane są od stuleci i stanowią w Jogjakarcie podstawę rodzimego przemysłu zdobniczego. Jest miedź i złoto. Olbrzymie złoża ropy naftowej są tylko częściowo eksploatowane, a węgiel wydobywa się w ogóle systemem odkrywkowym.

Równocześnie poziom życiowy ludności Indonezji jest jednym z najniższych na świecie. W czasie naszego pobytu wybuchł strajk w jednej z fabryk w Bantungu. Płace zatrudnionych tam robotnic wynosiły półtora rupii dziennie — wartość rupii wg. kursu wolnorynkowego równa się 4 centom amerykańskim, wg. kursu oficjalnego 9 centom Indonezja daje 90 proc. światowej produkcji chininy — równocześnie na rynku brak chininy dla chorych na malarię, ponieważ monopol skupu kory chinowej mają 3 fabryki holenderskie.

Na wsi dochód na głowę jest jeszcze niższy niż dochód robotnika w mieście, dlatego też istnieje stała ucieczka ludności ze wsi do miasta. Przed wojną Djakarta, która wtedy nazywała się Batawią, liczyła 700 tys. mieszkańców — obecnie liczy ich prawdopodobnie dwa i pół miliona, z tego duży odsetek to ludzie całkowicie bezdomni. Znaczna część bezdomnych wynajmuje się jako stróże do pilnowania sklepów, magazynów i prywatnych domów — to im pozwala spać w nocy na ulicy przed strzeżonymi obiektami. Przed każdym domem w centrum miasta i w „lepszych" dzielnicach śpi kilku takich stróżów. Innym bezdomnym nie wolno spać w nocy na ulicach, gdyż od pierwszej w nocy obowiązuje godzina policyjna.

Cena domku w Djakarcie wynosi od 200 tys. rupii wzwyż, jest więc — nawet licząc po kursie nieoficjalnym — wyższa, niż cena domku w Londynie. W stłoczonych zabudowaniach co pewien czas wybuchają pożary. Według powszechnej opinii pożary wywoływane są przez właścicieli gruntów, gdyż jeszcze z czasów jednolito - frontowego rządu zamordowanego potem tow Szarifuddina w Indonezji obowiązuje ustawodawstwo o ochronie lokatorów, więc spalenie domku to najłatwiejszy sposób pozbycia się starych lokatorów gnieżdżących się po lepiankach z bambusu i gliny. Potem można wybudować na zwolnionym gruncie dom przynoszący dochód odpowiadający jego wartości rynkowej, lub też można po prostu sprzedać plac. Właśnie niedługo przed naszym przyjazdem od takiego pożaru zajęła się cała dzielnica, musiano zrobić śledztwo i wtedy wydało się, że podpalił właściciel gruntu. Ale nawet bezdomny w Djakarcie ma większe szanse życiowe, niż mieszkaniec wsi. Jeżeli jest się młodym i silnym można zostać riksiarzem. Taksa dla przyjezdnych Europejczyków wynosi mniej więcej jedną rupię za kilometr, dla miejscowych i Indonezyjczyków połowę tego, riksiarz płaci właścicielowi rikszy 20 rupii dziennie — oznacza to, że przeciętnie pierwsze 30 kilometrów dziennie riksiarz jeździ dla właściciela, następnie zaczyna jeździć dla siebie — jeżeli przejedzie mniej, niż 30 kilometrów, dopłaca z własnej kieszeni.

Arystokracją są przekupnie, którzy sprzedają papierosy, gazety, owoce i kawałki mięsa smażone na patykach. Rano procesje ich ciągną ze wszystkich przedmieść i każdy niesie na koromysłach cały swój sklepik. Biegną pod koromysłami charakterystycznym krótkim kroczkiem z nogami ugiętymi w kolanach, nie wiem czy dlatego, żeby lepiej utrzymać równowagę, czy żeby im się zawieszone na koromysłach kosze nie obijały o nogi. Potem rozkładają swoje sklepiki na skraju ulicy i cała rodzina kolejno dyżuruje przy nich przez cały dzień. Nie piszę, że je rozkładają na chodnikach, gdyż w Indonezji, jak we wszystkich dawnych koloniach, chodników nie ma, a do domów i sklepów wchodzi się prosto z jezdni, prawie zawsze zresztą asfaltowej — przecież „biali" nie chodzą piechotą, więc po co chodniki. Wieczorem sklepik pakuje się i odnosi na koromysłach do domu. Są także przekupni wędrowni, którzy cały dzień chodzą z koromysłami po ulicach i przed każdym domem wydają specjalne okrzyki, tak uderzająco przypominające głosy jakichś egzotycznych ptaków, że najpierw nie chce się wierzyć, że to krzyczy człowiek, a potem z kolei nie można się pogodzić z tym, że przy wydawaniu tak zabawnych odgłosów można mieć taką smutną minę. Na każdy rodzaj towaru jest inny sygnał — inaczej krzyczy przekupień ryb — (niektóre z nich sprzedaje się z wody i wtedy przekupień niesie na ramionach dwa wiadra z wodą) inaczej sprzedawca bananów czy orzechów kokosowych, a jeszcze inaczej handlarz ryżowych mioteł i szczotek. Mężczyźni wszystkie ciężary noszą na koromysłach, kobiety na głowie — Indonezyjki są szanowane przez swoich mężczyzn i zawsze ciężar niesie mężczyzna.

Fot. autora

Jeżeli ma się zdrowe serce, można zostać rikszarzem

Czesław Wojnarowicz

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Dyrygenci i kiperzy

Dwa fakty skłoniły mnie do opuszczenia sali kinowej na rzecz biblioteki. Pierwszym z nich jest nie zauważona prawie przez krytykę książka Jerzego Płażewskiego „Szkice filmowe", drugim zaś opublikowanie w n-rze 9 „Kwartalnika Filmowego" diariusza kinematografii polskiej za rok 1952, który uwzględnia również ważniejsze pozycje z zakresu krytyki filmowej

Recenzowanie „Szkiców filmowych", a tym bardziej pisanie o dorobku krytycznym filmoznawstwa z roku 1952 przekracza znacznie rozmiar tej rubryki. Fakty te jednak wskazują na potrzebę zastanowienia się przez chwilę nad zadaniami naszej krytyki filmowej i krytyki filmowej w ogóle.

Każda prawie książka poświęcona zagadnieniom filmu posiada rozdział, zawierający dziwne pytanie: czy film jest sztuką? Odpowiedzi autorów w większości wypadków brzmią pozytywnie. Z motywacji zaś ich wynika, że do rangi sztuki podnieśli film wielcy twórcy. Twórcy, wybitni ludzie filmu przekonali najwybredniejszych nawet odbiorców o narodzinach nowej muzy. Dziś sprawa ta nie ulega w ogóle kwestii.

Czas jednak postawić tezę obszerniejszą: film jest nie tylko sztuką, ale i nieodłączną, ważną częścią składową kultury współczesnej. Bez znajomości filmu nie można nie tylko w pełni zrozumieć współczesnej literatury i sztuki, ale również i współczesnego człowieka. Przykład, jeden z tysięcy: kiedy ukazało się „Pokolenie" Czeszki podniosły się gdzieniegdzie głosy, że to „gotowy scenariusz". Oczywiście, nic podobnego — technika pisarska Czeszki różni go w wielu zasadniczych sprawach od techniki scenariuszowej. Ale w książce jego jest niewątpliwie wiele z filmu, że przypomnę choćby „montażowy" układ scen.

Film jest źródłem współczesnej prozy amerykańskiej — Hemingwaya, Steinbecka, Cauldwella; nie tylko twórcy, ale i tzw. „szary człowiek" chodząc do kina, coraz częściej widzi i kojarzy „filmowość". „Filmowość" jest dla naszych czasów tym, czym była np. „teatralność" dla epoki baroku.

Nie twierdzę, że teza ta znajdzie oponentów, ale zadanie udowodnienia jej spoczywa na krytykach. Jak twórcy wprowadzili film do przybytku muz, tak krytycy muszą wprowadzić film do nauki o sztuce. Żeby uczono filmu historyków sztuki i literatury. Żeby w podręcznikach sztuki rowoczesnej znajdowały się rozdziały o filmie. Żeby brano go serio pod uwagę myśląc o przyszłości. Człowiek nie znający choć w zarysie podstawowych problemów nauki o filmie niedługo już będzie całkowicie bezradny wobec spraw kultury współczesnej, tak samo, jak dziś krytyk czy twórca filmowy nie znający węzłowych zagadnień literatury, malarstwa, teatru i muzyki, nie ma nic do powiedzenia o swojej sztuce.

Oczywiście, powtarzam to raz jeszcze, aby tezę tą rozwinąć i ugruntować, potrzebni są dobrzy krytycy i teoretycy filmu — krytycy-dyrygenci. Krytyk - dyrygent to taki który potrafi pisać o swojej sztuce mając przed oczyma pełną orkiestrę instrumentów, jaką stanowi kultura ludzka. Który, inaczej mówiąc, ma przed oczyma dobrze zorientowaną mapę kultury i wyznacza na niej miejsce swojej dziedzinie. Takimi krytykami byli Stasow, Bieliński, Czernyszewski, takim był Saint-Beuve, był nim u nas Sygietyński, po części Boy. Na terenie filmowym było ich niewielu. Pretendować do miana dyrygenta mógłby Irzykowski, ale mapa, na której szukał miejsca dla filmu źle była zorientowana i jej północny biegun wskazywał formalizm. Inny pretendent, Bela Balazs (np. nazwisko Balazsa, wybitnego węgierskiego teoretyka filmu, przerastającego miejscami o głowę Georga Lukacsa jest w kompromitujący sposób nieznane nawet w naszych sferach intelektualnych) szukał miejsca dla filmu na dwóch różnych mapach — kultury rewolucji i kultury burżuazji — w rezultacie zawieszał je w powietrzu.

Ale u nich wszystkich była wartość zasadnicza: zrozumienie, że nie ma nauki o filmie, jest tylko nauka o kulturze, której film jest częścią. Krytyk, który tego nie rozumie nie tylko nie stanie się nigdy dyrygentem, ale jest po prostu kiperem — kiperem chwycików, pomysłów, formułek. Może być również urzędnikiem kultury, odnotowującym skrzętnie filmowe sprawy do załatwienia. A to przecież na pewno za mało, jak na rzeczników „najważniejszej, najbardziej masowej ze sztuk".

Krzysztof T. Toeplitz

ZACHÓD W NASZYCH OCZACH

Pożytek i przyjemność

Tej nocy zabiłem więcej osób niż można policzyć na palcach obu rąk. Zabiłem je z zimną krwią, a raczej z radością... i oto jestem spokojny i szczęśliwy". („Tragiczna noc").

„Nadejdzie wkrótce taki dzień, kiedy będę miał w ręku rewolwer a przede mną mordercę. Spojrzę w jego twarz a później wpakuję mu kulę w brzuch. Podczas gdy będzie leżał na podłodze umierając, będę tak długo go kopał, aż wybiję wszystkie zęby". („Ja cię zabiję").

„Odwróciłem go na plecy, żeby mógł patrzeć na moją twarz, żeby mógł widzieć jakiej rozkoszy doznaję zabijając go. Ściskałem, ściskałem coraz mocniej aż moje palce wbiły się głęboko w krtań. Ofiara czyniła próżne wysiłki odepchnięcia mnie. Roześmiałem się. Mój śmiech był jedynym dźwiękiem, który rozdarł ciszę nocy. Podczas gdy się śmiałem, jego język obrzmiewał, wywalając się poza przegrodę zębów a twarz zwolna robiła się czarna. Trzymałem go tak długo, aż poczułem, że złamał się w kolanach. Śmierć była niewątpliwa. Wówczas oderwałem ręce od jego gardła i poczułem, że pada jak bezwładny worek" (por. Callendario del Popolo, lipiec, 1953).

Nie są to bynajmniej wyznania morderców, lecz przedstawicieli władzy i prawa — bohaterów współczesnych amerykańskich powieści kryminalnych Najpoczytniejszym ich twórcą jest w chwili obecnej Mickey Spillane, odrzucający z pogardą wszystko „co stare i obłudne". Wbrew oficjalnym deklaracjom jego zdaniem „prawdziwą rozkosz i prawdziwą radość znaleźć można tylko w otwartym zaspokajaniu swych instynktownych potrzeb: miłości i mordu". Miłość jest sumą perwersji, nienawiści, brutalności i uciszenia, mord gwałtownym zaspokojeniem głęboko ukrytych namiętności. Jedno i drugie ma prawo dokonywać się ze społeczną aprobatą.

Stworzony przez Spillane'a typ prywatnego wywiadowcy, Mike Hanner, jest reprezentantem „światopoglądu" autora. Wykonuje on szereg podstępnych sztuczek, sprytnych manewrów i brutalnych posunięć, by dotrzeć do zbrodniarza przed policją, nie w tym jednak celu, by zadośćuczynić swej zawodowej ambicji, ale po to, by własnoręcznie zabić przestępcę, by móc swobodnie „kopać to co z niego zostało" czyli by móc wyżywać się w rozkoszy mordowania.

Twórczość Spillane'a, oraz takich jego naśladowców jak Rex Stout, Raymond Chandler itp. jest momentem zwrotnym w dziejach powieści kryminalnej. W ich bowiem interpretacji ideałem przedstawiciela władzy stał się człowiek mordujący z wewnętrznym zadowoleniem tych, którzy popełnili przestępstwo, lub ujrzy się w akcie pozbawiania życia ludzi uznanych przez prawo za niebezpiecznych. Konstrukcja tych książek przesuwa punkt ciężkości z logicznego rozumowania i wnikliwej analizy środowiska, jaka miała miejsce w powieściach „klasyków" literatury kryminalnej Conan Doyla czy Wallace — na toczącą się w zawrotnym tempie akcję oraz szczegółowy opis „wzruszeń" sadystycznych bohaterów. Naczelną zasadą moralną, łatwą do odcyfrowania między stronami tych „arcydzieł" jest hasło: zabijać z pożytkiem dla władzy i z przyjemnością dla siebie. Kogo zabijać? Każdego, kto jest wrogiem porządku społecznego, a więc bandytów, złodziei i... komunistów, a w każdym razie tych, których za takich uważamy.

W jednej z powieści Spillane opisuje jak bohater jego „odkrył gniazdo komunistów" i jak zachłystując się krwią i uniesieniem, mordował członków tajnego zgromadzenia. Oto przykład zachowania się właściwego, godnego najwyższego uznania.

Powieści Mickey Spillane ukazały się w nakładzie trzynastu milionów egzemplarzy Ich zadaniem jest takie kształtowanie gustów i upodobań amerykańskiego obywatela, które byłoby najpożyteczniejsze dla imperialistycznej polityki zjednoczonych koncernów przemysłowych. Elementami współgrającymi są tu: nieustannie podsycana nienawiść rasowa, działalność ku klux klanu, gangsteryzacja życia społeczno - gospodarczego i wielka inkwizycja ideologiczna typu Mac Carthy.

Zjednoczone wysiłki aparatu rządzącego oraz współdziałających z nim warstw posiadających nie dają jednak spodziewanych wyników. Naród amerykański w dziedzinie polityki i kultury wybiera własną drogę.

Jadwiga Pasenkiewicz

Stanisław Szydłowski

Kwalifikacje

Chciał pracować w MHD,
powiedzieli mu, że nie.
Odmówili z racji
braku kwalifikacji.

Gdy do Mięsnej wszedł Centrali,
co potrafi, zapytali.
Odmówili z racji
braku kwalifikacji.

Byłby pracę dostał już
jako portier ale cóż —
odmówili z racji
braku kwalifikacji.

Prawie miał już, można rzec,
w miejskiej łaźni pracę, lecz —
odmówili z racji
braku kwalifikacji.

I co począć miał właściwie?
Począł trudzić się gorliwie
na kultury niwie,
na kultury niwie.

Redagują Zespół Adres redakcji: Warszawa ul Zielna 32 I p Telefony: 8 86-11 — Sekretariat, — Red naczelny 8 79-38 Adres administracji Warszawa, ul Wiejska 12 tel 8 06 61 Wydaje RSW „Prasa"
Kolportaż. P P K „Ruch". Oddz w Warszawie ul Srebrna 12. tel 804 20 do 25 Warunki prenumeraty. Miesięcznie zł 4 60 kwartalnie zł 13 80 półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy Cena ogłoszeń. 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" Warszawa, Poznańska 38 konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5.

4-B-17844